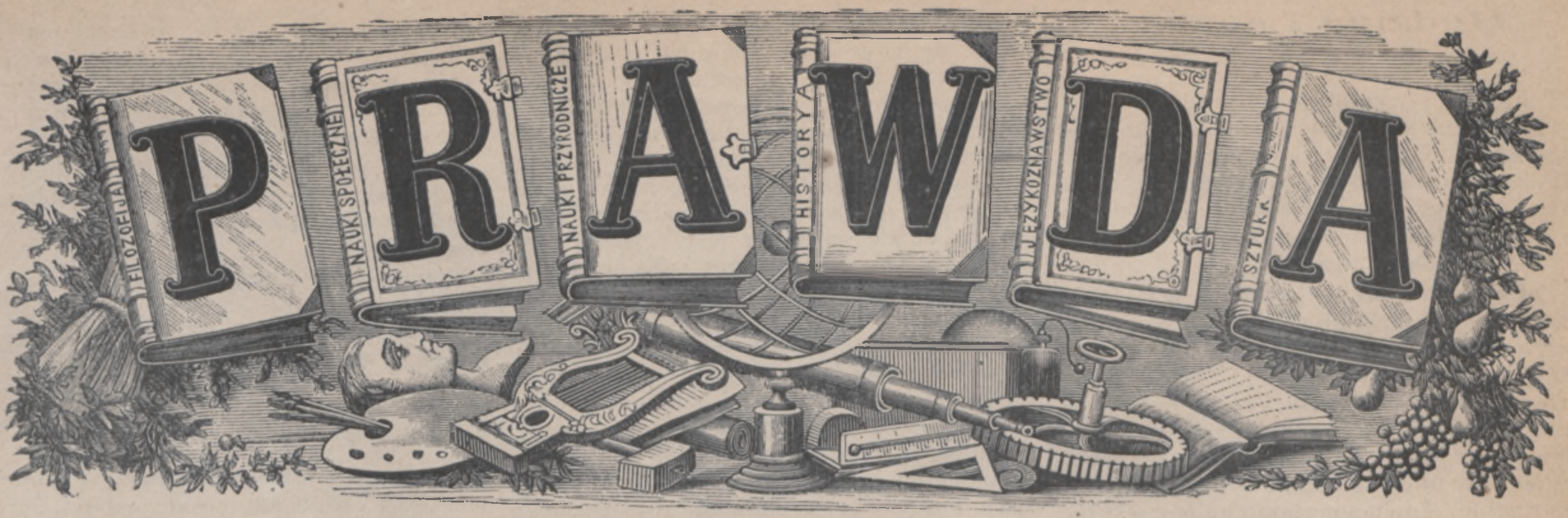
№ 3. Warszawa, dnia 19 (7) Stycznia 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

ZWYCIĘSTWO FOLBLUTÓW.

W Europie najczęściej teraz widujemy: albo drapieżny klerykalizm, albo obłudny liberalizm, albo... rewolucyę. Żywioły umiarkowane, pragnące spokojnego rozwoju bądź kryją się, bądź milczą lub przyjść do słowa nie mogą. Mimo wszakże ustawicznych tryumfów wstecznictwa nietrudno dostrzedz, że w łonie narodów europejskich odbywa się zacięta walka, której przebieg nie napełnia otuchą dotychczasowych zwycięzców. Jej rezultat bowiem daje im zawsze tak małą przewagę, zależną w znacznej części od przestarzałych ustanowień parlamentarnych, że do złudzeń na daleką przyszłość nie upoważnia. W sejmach: niemieckich, austryackich, francuskich, angielskich prawa reakcyjne przechodzą większością jednego lub kilku głosów, a przytem nieraz rządy wyprzedzają daleko w postępie tych, na których się opierają. Ten i ów minister wymaga radykalniejszych zmian, niż sprzymierzony z nim w głównych zasadach konserwatyzm. Widzieliśmy to kilkakrotnie w Anglii, we Francyi, a teraz w Węgrzech.

Jak wiadomo, w Austryi istnieją śluby cywilne. Uważając je za skuteczny środek asymilacyjny, pod wpływem niedawnych ruchów antisemickich, w których zaciekłość przeciw izraelitom objawiła się tak gwałtownie, wystąpił prezes gabinetu węgierskiego Tisza z projektem małżeństw mieszanych. Zgodę Izby niższej otrzymał, ale wyższa wniosek jego odrzuciła. Jak chce konstytucya, projekt wrócił do Izby niższej, która go ponownie zatwierdziła i przeszedł przed kilku dniami do wyższej, która go znowu nie przyjęła. Ponieważ nie stać ją było na zwycięstwo o własnych siłach, więc wezwała do pomocy magnatów z drugiej strony Litawy, którzy, posiadając szlachectwo węgierskie, mają prawo zasiadania w kahale arystokracyi madziarskiej. Przybyło ich dziewięciu, a że konserwatyści zwyciężyli dziesięcioma głosami, jeden zatem krajowy przeważył szalę.

O owych folblutach sprowadzonych miał cesarz wyrzec, że „niczego się nie nauczyli," Andrassy zaś wykrzyknął podobno, że „opozycya pobiła nas na długość dziesięciu koni." Słowa te, chociażby zmyślone, sprawiedliwie charakteryzują położenie. Magnaci austro-węgierscy rzeczywiście nie uczą się niczego i w walce z projektem rządowym dowiedli tylko rasowości. Wobec ich oporu czy można dziwić się, że niższe, demokratyczne lub zdemoralizowane warstwy narodu uczują przeciw nim zwiększoną nienawiść, która nie zawsze tylko szumi i wre, ale także i wybucha? Przedstawiciele tego narodu zasiadają w Izbi[illegible]tóra pewną zmianę prawodawczą uważa za korzystną dla niego; ale na tę wolę ogółu kładzie swój areszt samolubna i wyrodna kasta, która tamuje koła postępu, bo on nie odpowiada jej interesom. Czy podobna takie zuchwalstwo minąć obojętnie? Dlatego, że magnaci węgierscy chcą ubezpieczyć swą krew przeciw domieszkom semickim, to naród węgierski nie może zaprowadzić u siebie ślubów cywilnych i przedsięwziąć asymilacyi 638,000 żydów? Przecież to woła o pomstę... do konstytucyonalizmu!

Nie łudzimy się wcale wiarą w bezwzględną moc małżeństw mieszanych, których wpływy fanatyzm religijny stron obu sprowadza do bardzo szczupłych rozmiarów; ale zaprzeczyć trudno, że i ten środek w spokrewnianiu obcych i wrogich żywiołów skutecznie pomaga. Gdzie potrzeba zapełnić tak głęboką przepaść, tam nie należy pomijać żadnego sposobu i tam żaden sam przez się nie wystarczy. Tymczasem rasowi antisemici węgierscy, chłoszcząc żydów za odrębność, zamykają im wszystkie drogi zbliżenia się; gardzą tem, co jest, i nie pozwalają, ażeby było inaczej. Protestują przeciwko asymilacyi w szkole, w małżeństwie, w urzędach i jednocześnie krzyczą, że żyd jest żydem. A gdy ciemne tłumy, rozpalone nienawiścią, urządzą widowisko preszburskie, arystokracya głosi uroczyście ze swych wyżyn, że ona z rabunkiem i rozbojem nie ma nic wspólnego. I gdyby przynajmniej swoją własną sferę zamykała przed prądami nowymi! Nie, ona w ramy swego życia chce oprawić życie całego narodu, tego narodu, który nie ma jej majątków, ani jej złudzeń, ani przesądów, ani pychy. A kto swem ramieniem podpiera zawsze ściany tej społecznej rudery? Naturalnie ci, którzy się mienią apostołami równości, miłości, braterstwa i tym podobnych, nigdy niewykonywanych cnót—dostojnicy kościelni. Oni to niezwykłą liczbą zapełnili salę Izby wyższej podczas obrad nad projektem o ślubach cywilnych. Im znowu nie szło o czystość krwi nowożytnych hunnów, ale o wymykający się z rąk interes. Ciągnąć zyski z urodzin, zaślubin i śmierci, mieć w swoich rękach całe życie człowieka, począwszy od chrztu, który wprowadza go między obywateli ziemi, aż do pogrzebu, który mu otwiera niebo — to jest ich tradycyjna i — przyznajmy — mądra polityka. Bronią też zawzięcie każdej stopy uszczuplającego się gruntu, nie dadzą sobie nic wydrzeć, ani jednego grosza, ani jednego wpływu.

Co zrobi Tisza? Uledz musi, ale nie sądzimy, ażeby jeden głos przewagi mógł go zniechęcić, zwłaszcza gdy naród większością go popiera. Doświadczenie Anglii, a poniekąd i przykład Bismarka, który odrzucone projekty uparcie wnosi, powinny prezesowi gabinetu węgierskiego wskazać drogę, a magnatów i biskupów przekonać, że oni od słusznych wymagań wieku tak łatwo się nie odżegnają.

Rodzina i naród.

Na jakież to manowce sprowadzają umiejętność różne zastarzałe nawyknienia umysłu ludzkiego! Jakże trudno pozbyć się wyobrażeń, wyssanych niejako z matczynych piersi tradycyj, podań i wiary! Ileż takich przesądów mąci nam ciągle wzrok badawczy i zasłania widok prawdy!

Od wieków filozofowie i politycy widzieli ścisły związek między rodziną a narodem: pierwszą uważano za zawiązek ostatniego, który znowu uchodził tylko za wielkie, przez długie wieki urosłe i rozszerzone koło rodzinne. Gdzie zaś w takiem kole spostrzeżono obce żywioły, sądzono, że jest to *zboczenie* od prawidłowego stanu rzeczy, zjawisko anormalne. Mniemanie takie było i jest jeszcze bardzo powszechnem. Tymczasem rzeczywistość historyczna i faktyczny stan rzeczy dzisiejszy zadają mu kłam. Nigdy i nigdzie nie było i niema narodu jednolitego, a śledząc rodowód tych poszczególnych części składowych społecznych, dochodzimy zawsze do różnorodności ich od samego początku. Zjawisko to jest tak powszechne, tak bezwyjątkowe — czy rzucimy okiem na mocarstwa starożytne i średniowieczne lub nowożytne; czy popatrzymy się na dzisiejsze państwa Azyi, Afryki, Ameryki lub Europy — że w żaden sposób przypisać go nie możemy przypadkowi lub ślepemu trafowi, ale musimy w niem uznać wyraz jakiegoś, wszędzie i zawsze z tą samą siłą działającego prawa socyologicznego.

I tak też jest w istocie. Naród nie wyrósł z rodziny, a zasadą jego moralną nie jest familijność. Wyrósł on na gruncie państwa, którego zasadą nie jest miłość rodzinna, nie poświęcenie, ale—choć to okropnie brzmi—wyzysk wzajemny, zawisłość przymusowa jednych od drugich, rząd na przemocy oparty jednych nad drugimi. Tymi „jednymi a drugimi“ zaś w państwie i narodzie są właśnie owe różnorodne części jego składowe, między któremi niegdyś wrzała zabójcza wojna, zakończona podbojem, a następnie toczy się walka polityczna i ekonomiczna. W *istocie* więc państwa i narodu ugruntowana jest owa różnorodność, bo tylko z wojny lub walki ekonomicznej takich różnorodnych żywiołów wyrasta państwo, wyrasta naród.

Ponieważ zaś ta wojna podbójcza i ta walka ekonomiczna ma wszędzie jednaki *cel* i wszędzie jednaką naturę, stąd pochodzi, że państwa i narody przedstawiają wszędzie i zawsze żywioły społeczne zostające do siebie w tym samym stosunku. Wszędzie zatem są żywioły panujące, opierające się na przemocy, sile fizycznej i moralnej; wszędzie są opanowane i poddańcze; wszędzie nareszcie są pośrednie, żyjące z ekonomicznego wyzysku tak jednych, jak i drugich. Osią więc i duszą tego ustroju społecznego nie jest miłość i poświęcenie wzajemne, ani też władza patryarchalna, ale *wyzysk* wykonywany pod różnemi formami, bądź to politycznemi, bądź ekonomicznemi. Niemniej wszakże te ustroje społeczne są warunkami cywilizacyi i rozwoju narodowego, tak, że w końcu przyznać trzeba, iż bez podboju, panowania i wyzysku nie byłoby ani cywilizacyi, ani—*narodowości*. Proces bowiem moralny, który tworzy cywilizacyę i narodowość, odbywa się na tle ekonomicznego, który jest duszą państwa; ten proces zaś ekonomiczny nie mógł by się odbyć bez przymusowego rozdziału *pracy* i bez wyzysku jednych przez drugich. Niema bowiem cywilizacyi bez poprzedniego utworzenia *kapitału*, kapitał zaś jest zbiornikiem *zysków*, które znowu są rezultatami *wyzysku*.

Tak przedstawia się trzeźwo rozpatrywana rzeczywistość — i to nietylko w jednym kraju i w dzisiejszych czasach, lecz zawsze i wszędzie.

Ale umysł ludzki ma od natury ten smutny dar wyobraźni, mocą której umie on tworzyć obrazy *przeciwne* rzeczywistości (ideały). Widząc wojnę wieczną, umie sobie *wyobrazić* pokój wieczny; widząc zawisłość wieczną jednych od drugich, umie sobie *wyobrazić* równość wszystkich; widząc wyzysk, umie sobie *wyobrazić* miłość i poświęcenie wzajemne. Imaginacya ta o tyle nie płodzi zupełnych złudzeń, o ile w pewnych pokrewnych kółkach jej ideały i cnoty istnieć mogą, ale o tyle znowu jest czczem mamidłem, że przenosi na społeczne, z różnorodnych żywiołów składające się ustroje te przymioty, które właściwe być mogą tylko szczupłym grupom pokrewnym.

Nie spostrzegamy zaś złudzenia dlatego, że od dawien dawna naród wyobrażamy sobie jako wielką rodzinę; przenosimy więc nań a następnie i na ogół narodów pojęcia, które przeciwne są ich naturze, a właściwe być mogą tylko kółkom pokrewnym i rodzinnym. W tem leży owa gruba pomyłka, która czyni, że wypadek naszych rachub idealno-politycznych nie zgadza się nigdy z wypadkiem rzeczywistym na arenie życia.

Stąd pochodzi, że filozofowie mają ciągle nadzieję, iż kiedyś zapanuje pokój między narodami, a wojna nigdy nie ustaje; że konstytucye polityczne ogłaszają zawsze równość a rzeczywistość wykazuje zawsze tylko nierówność obywatelską; że religie i etyki nakazują zawsze „miłość bliźniego,“ a praktyka życia pokazuje zawsze i wszędzie tylko jego wyzysk.

„Więc czy narody nie zbliżą się nigdy do ideału rodziny? Czy nigdy zawiść i sobkowstwo nie ustąpią miejsca miłości i poświęceniu?“

Odpowiadamy stanowczo — nie! Ale niemniej naród, choć z natury jest ustrojem, polegającym na wzajemnej walce różnorodnych żywiołów, może się jednak zbliżyć do ideału *narodu*—o tyle, że walka ta odbywa się nie w samych granicach *prawa*, ale także w formach i w duchu *moralności*.

Prawo i moralność uzacniają tę konieczną walkę i podnoszą naród ze stanu barbarzyństwa do stanu cywilizacyi.

„Czy w ostatnim znika nędza społeczna? Czy każdy ma tyle co potrzebuje?“ — tak pytają socyaliści. Obłudą byłoby na pytania te odpowiedzieć twierdząco. Takiej cywilizacyi jeszcze nie było na świecie—a nie wierzę, aby ją socyaliści stworzyć mogli; bo i oni natury ludzkiej nie zmienią. Ale w każdym razie cywilizacya dąży ustawicznie do zmniejszania nędzy społecznej i tworzy coraz nowe środki w celu zapobieżenia jej. Dążenia te i usiłowania są znamieniem postępu. Czy będą one uwieńczone kiedyś pożądanym skutkiem? czy doprowadzą one do upragnionego celu? Nie wiem, ale któryż socyalista mógłby *nas zapewnić*, że cel ten osiągniemy przez wywrót społeczny? Mnie się zdaje, że za pomocą wywrotu społecznego można dojść tylko do — wywrotu społecznego: to jest do takiego stanu, w którym *niektórzy* z pod spodu dostaliby się na wierzch a niektórzy z wierzchu dostaliby się może na spód. Ale taki wywrót nigdy nie zmieni *natury* społeczeństwa i narodu i sprowadziłby — gdyby go uskutecznić można — tylko małą odmianę osobistą, małą przemianę ról; *rzecz* zostałaby ta sama, dramat życia ludzkiego, za którego kulisami działają zawsze i wszędzie te same sprężyny naturalne, dramat ten nie zmieniłby się ani na włos.

Społeczeństwo ludzkie ma pewne stałe formy naturalne, w których żyje; znamy ich trzy. Pierwotna, pół zwierzęca *horda* — ta najbardziej podobna do rodziny. Jakaś tam istnieje pokrewność i wspólność. Niema wykształconego rządu, ani rozwiniętej własności. W tej formie społecznej żyją podobno dziś jeszcze patagończycy i inne półdzikie hordy. Wyższą formą jest *szczep* koczowniczy, jaki widzimy dzisiaj jeszcze u ara-

---

Pierwszy debiut poety

przez

ŚWIĘTOPEŁKA CZECHA.

Leżą przed nim jeszcze wilgotne. Gdy na nie patrzy, wyobraża sobie, że tysiące głów pochylają się nad jego ramieniem i tysiące oczów o rozmaitym wyrazie spoczywają na tych jego myślach i uczuciach, które mu się wydają tak obcemi, tak nowemi w świątecznej szacie z farby drukarskiej, w której po raz pierwszy w świat występują.

Ośm dni nie wychodził z domu. Przez ten czas przeczytał wszystkie dwadzieścia gratisowych egzemplarzy i do reszty poobrywał chwasty od sznura, którym był przepasany jego przed czasem spłowiały szlafrok. Wieczorem ósmego dnia posłaniec przyniósł mu list od wydawcy. Rozerwawszy kopertę drżącemi gorączkowo rękami, znalazł w niej należność i ostatni numer jednego z poważniejszych krytycznych czasopism. Powiedzmy na jego pochwałę, że pierwej wziął się do ostatniego i wnet też wpadła mu w oczy uwaga o jego utworach. Czytał i znowu czytał płonącemi oczami, że poezye jego tworzą epokę w literaturze czeskiej, że dał swemu narodowi bukiet uroczych kwiatów, pełnych rosy delikatnego uczucia i rozkosznej woni.

Dopiero, gdy już po raz szósty przeczytał to oklepane porównanie, pogardliwym ruchem sięgnął po honoraryum oraz po coś nieokreślonego do szafy z odzieniem. Wyszedł na ciemną ulicę i w jakimś na pół ukrytym i słabo oświeconym składzie kupił sobie nowe ubranie.

We śnie unosił się nad nim anioł z wawrzynowym wieńcem w dłoni, a dziewczęca twarz tego anioła miała znajome, lube rysy.

Na drugi dzień wczesnym rankiem wyszedł z uroczystem obliczem na ulicę. Zdawało mu się, że wielu nieznanych ludzi spogląda nań z pewnym szacunkiem. Spotkał jednego z przyjaciół; ten już zdaleka wyciągnął do niego obie ręce, wołając:

— Winszuję, winszuję!

— Niema czego—odpowiedział poeta, spuszczając skromnie oczy. Jednak, mój drogi, zależy mi rzeczywiście bardzo wiele na twojem zdaniu. Mów więc szczerze — bez ogródki — jak ci się podobały?

— Piękne, słowo daję! Po części może za ciemny, za posępny kolor.

— Odpowiedni do stanu mej duszy.

— W każdym razie tak pod względem materyału, jak i pod względem wykonania, znakomite. Forma swobodna, a przecież wykwintna. Według najnowszych francuskich wzorów.

— Mylisz się — zauważył poeta, cokolwiek urażony. Nie jestem wcale zwolennikiem francuskiej maniery. Prędzej bym ci przyznał słuszność, gdybyś mi zarzucił pewien wpływ wielkich wzorów angielskich.

— Wszystko jedno! — przerwał przyjaciel, który słuchał tylko jednem uchem. Francuskie, czy angielskie, w każdym razie znakomite. Jeżeli wszakże już koniecznie mam ci robić zarzuty, to pozwól, że zwrócę twoją uwagę na pewną wadę.

— Wadę? — zawołał żywo autor, przyjmując pozycyę obronną. Jakąż?

— Że mają za wiele kieszeni.

bów, kirgizów, albańczyków itd. W szczepach tych już występuje *różnorodność*, jest rozdział między panami a niewolnikami. Szczep jest to wolno krążący jeszcze zaród państwa—państwo ruchome. Trzecią formę życia społecznego stanowi *ustrój państwowy*, stale na pewnem terytoryum osiedlony. Ze znanych nam postaci życia społecznego jest to najwyższa, dająca możność i warunki największego rozwoju umysłowego i cywilizacyjnego. Ale polega ona na skojarzeniu i zespoleniu *najróżnorodniejszych* żywiołów i istniejącej między niemi *nierówności* politycznej i ekonomicznej. W ustrojach takich mogą się odbywać i odbywają się najrozmaitsze przewroty społeczne (traktuje o nich historya powszechna), które jednak natury ich nie przerabiają. Jak kot, skądkolwiek rzucony, zawsze pada na cztery nogi, tak samo ustrój polityczny państwa zostaje zawsze ten sam, jakiekolwiek zachodzą w nim przekształcenia, które zmieniają tylko, jak powiadam, role osobiste, dekoracye zewnętrzne, nie zaś naturę i istotę tego ustroju.

Z tego bynajmniej nie wynika, aby najwyższą mądrością było utrzymywanie zastoju. Tego też nie możemy się obawiać, bo popędy, dążenia i namiętności ludzkie należą do natury ich ustrojów społecznych i podtrzymują proces dziejowy. Ale o to tylko chodzi, aby dążenie do reform społecznych nie kierowały się ku niemożliwym, naturze organizmów społecznych przeciwnym celom. Pożądanych a możliwych reform dużo wyliczyćby można: są one dziś przedmiotem starań w wielu państwach europejskich.

Ale teorye socyalistyczne zawierają w programie swoim niektóre punkty, które są urojeniami, a urojenia te mają przyczyną w fałszywem pojęciu *istoty państwa i narodu* oraz w tem od wieków zakorzenionem fałszywem wyobrażeniu, że naród powstał z rodziny, że jest a przynajmniej powinien być wielką rodziną opartą na równości, miłości i poświęceniu. Jest to ideał, który powstaje przez *przeciwne odbicie się rzeczywistości w zwierciedle umysłu naszego*. Goniąc za tym ideałem nie zmienimy rzeczywistości. *Poznać* urojenie, *badać* rzeczywistość, do niej zastosować usiłowania swoje i zredukować je do miary możliwości—w tem leży mądrość polityczna.

L. Gumplowicz.

GOSPODARSTWO KRAJOWE *).

W niemałym znajduję się kłopocie, do jakiej kategoryi dzieł zaliczyć pracę p. Skrzyńskiego. Wszystkiego w niej potroszę: i topograficzny opis Galicyi i obraz porównawczy gospodarstw różnych krajów i ekonomia i statystyka i agronomia— i nieco nawet z polityki. Ta ostatnia okoliczność zwiększa jeszcze mój kłopot. W uwagach, wypowiedzianych przy końcu dziełka, autor kilkakrotnie przytacza *Prawdę* i na podstawie tych cytat buduje swój program społeczny. Jakkolwiek jest to pochlebnem dla pisma, zastrzedz musimy, że na wiele poglądów p. Skrzyńskiego zgodzić się trudno, że zwłaszcza w kwestyach zasadniczych zdania nasze są nieraz wręcz sobie przeciwne.

O ile w luźnych wzmiankach p. Skrzyński zaznacza swoje stanowisko, zaliczyć go musimy do ekonomistów starej szkoły. Dla przedstawicieli jej: kraj, społeczeństwo, naród są jakimś abstraktem, fikcyą, czemś, mającem własne bytowanie i swoje własne specyalne interesy. Jest to jeden z przesądów, panujących dotąd zarówno w politycznej jak i ekonomicznej dziedzinie, który nieocenione szkody wyrządził ludzkości. Teorya organizmów społecznych, źle pojęta a gorzej jeszcze stosowana przez naszych improwizowanych socyologów, wzmocniła to fałszywe mniemanie. Powtarza się w tym wypadku po raz setny historya jajka Kolumba, ale w zarażonych doktrynerstwem głowach nie może pomieścić się prosta prawda, że interesem kraju jest interes większości jego mieszkańców. Z powyższego błędnego punktu wyjścia logicznie wypływa określenie ekonomii, jako nauki, traktującej o bogactwie narodu t. j. tej zbiorowej fikcyi. Zna ona tylko maszyny wytwarzające, spożywające i zamieniające produkty, ale po za kombinacyą tych czynników nie dostrzega żywego, realnego człowieka. Dopóki rzecz cała pozostaje w sferze teoryi, jest ona o tyle szkodliwą, o ile szkodliwym bywa każdy fałsz świadomy lub nieświadomy; ale kiedy zstępuje do życia, fałszywa doktryna służy jako usprawiedliwienie poziomych instynktów — jest apologią wyzysku, upośledzenia i krzywdy.

Ten nasz krytyczno-realny punkt wyjścia uważaliśmy za stosowne zaznaczyć, bo tu właśnie spoczywa zasadnicza sprzeczność pomiędzy nami i autorem. Nie czynimy autorowi zarzutu, że jest wyznawcą tych anie innych zasad i nie podejrzywamy jego szczerych obywatelskich zamiarów, wykazać tylko chcemy, że na tej drodze, po której idzie, ideał jego osiągniętym być nie może.

Wierny swej zasadzie, że bogactwo kraju polega jedynie na zwiększeniu ogólnej sumy produkcyi, p. Skrzyński widzi niezawodne lekarstwo na niemoc ekonomiczną Galicyi w ulepszeniu systemu gospodarstwa i streszcza zalecaną receptę w trzech słowach: kapitał — umiejętność — praca! O skuteczności tych środków pomówimy niżej, teraz nadmienimy jeszcze, że nadzieje pokładane w wielkiej własności Galicyi są zawodne, zajmuje ona tam, bowiem tylko 43% ogólnej przestrzeni. Autor nie jest jednak bynajmniej przeciwnikiem własności małej, owszem można go raczej zaliczyć do jej teoretycznych zwolenników, ale w pracy swojej pomija prawie ją milczeniem i zwraca główną uwagę na obszary dworskie. Zastanawiając się bardzo szczegółowo nad produkcyą roślinną i zwierzęcą w Galicyi, porównywa ją z produkcyą Królestwa, Francyi i Anglii. Ta ostatnia cieszy się szczególnymi względami p. S. tak dalece, że z równą słusznością możnaby nazwać jego pracę: rysem gospodarstwa krajowego w Anglii. O ile ulepszenia rolnicze zalecane przez autora potrzebne są i możliwe, wchodzić w to nie będziemy. Bezwątpienia czytelnik-ziemianin znajdzie tu wiele uwag trafnych; wiele wiadomości i wskazówek użytecznych, ale jednostronność poglądów tak uwodzi autora i tak błędnem światłem oświeca jego wywody, że w wielu razach Irlandya występuje jako wzór, a Królestwo okazuje się w gorszem daleko położeniu ekonomicznem od Galicyi. Oto do czego prowadzi probierz produkcyi bezwzględnej!

Przyczyn upośledzenia ekonomicznego Galicyi dopatruje p. Skrzyński w niezaradności i życiu nad stan właścicieli większych, w braku specyalnego wykształcenia u rolników, w wadliwości instytucyj kredytowych, wreszcie w próżniactwie i małej intensywności pracy robotników. Wszystko to prawda, ale zdaje się nam, że nie w tem leży jądro kwestyi i że wzrok autora, zajęty temi drobnemi muszkami, motylkami itd. — dojrzał... słonia! Pomimo, że mała własność zajmuje 57% przestrzeni, bezrolni lub małorolni włościanie stanowią 73% odnośnej ludności a nawet przeciętny obszar gospodarstwa nie dochodzi 6 morgów.

*) Stanisław Skrzyński. *Rys gospodarstwa krajowego.* Lwów.

Poeta porzucił swoją pozycyę obronną, jego oczy z przerażeniem spoczęły na przyjacielu, w twarzy ukazał się się wyraz bolesnego zadziwienia, a usta głucho wyszeptały:

— O czem ty mówisz?

— Co za pytanie? O twem nowem ubraniu. O czem-że bym mówił?

— Zabawne nieporozumienie — rzekł poeta z wymuszonym uśmiechem. Sądziłem, że mówisz o poezyach, które niedawno wydałem.

— A, tyś wydał poezye? Nic o tem dotąd nie słyszałem. No, spodziewam się, że zachowasz dla mnie jeden egzemplarz z własnoręcznym podpisem....

Po chwili zatrzymał drugiego z przyjaciół.

— Dokąd śpieszysz?

— Biegnę do księgarni.

— Cóż tam takiego?

— Paradne pytanie! Jakbyś mógł o tem choć trochę wątpić.

— Wiesz co, mój drogi, chodź ze mną. Dam ci darmo.

— Powtórz twe boskie słowa! — zawołał z radością przyjaciel, wsuwając swą rękę pod ramię poety. Doprawdy, chciałem za nie oddać cały swój majątek. Powiadam ci, jestem zachwycony, szaleję...

Nasz bohater słuchał trochę z niedowierzaniem tego wylewu przyjaźni i przerwał go pytaniem:

— Którąż z nich najwięcej ci się podoba?

— Ta najniższa, z alpejską różą na kapeluszu. Boże, jakie ona ma oczy, jaki biust, jaką nóżkę!

Poeta pozbawił ramię entuzyasty przyjacielskiej podpory i wyrzekł ozięble:

— Niewątpliwie obaj się mylimy. Myślałem, że idziesz do księgarni po zbiór moich poezyj.

— Twoich poezyj?! Ani mi się śniło. Śpieszyłem po bilet na dzisiejszy występ śpiewaczek tyrolskich.

— Tym ci nie mogę służyć.

— Żeby cię licho wzięło z twoimi wierszami. Teraz muszę wracać do księgarni taki kawał drogi.

Nasz bohater wstąpił do kawiarni. Wiedział, że tam za jednym z filarów, w ciemnej framudze, gromadka młodzieży roztrząsa codziennie wszystkie wypadki, jakie zaszły w ciągu doby. Żadna artystka dramatyczna niema tak ustalonej reputacyi, żadna tancerka tak przezroczystych skrzydełek z gazy, żeby ten pokątny areopag nie znalazł w nich jakiej plamy albo łatki, powodującej uszczypliwe przycinki. Najpiękniejsze sztuczne warkocze pań spacerujących na Przykopie, najcichszy fałszywy ton w orkiestrze, najbardziej oddalona nowa knajpka, najgłupszy maskaradowy dowcip — nic, nic nie ujdzie ich uwagi, niczego nie oszczędzi ich nielitościwa krytyka; jakżeby więc nie zauważyli grubego tomu poezyj! Usłyszy sąd, może stronny, niesprawiedliwy — ale zawsze sąd.

Usiadł plecami do filaru i słuchał. Nie długo czekał.

— Nic, nic, ale to nic nowego! — zaczął jeden. Strasznie nudne czasy.

— A cóż powiecie, koledzy, o tym zbiorku? — mówił inny.

— Nie wiem, jak można tracić czas na podobne głupstwa!

— A przytem niema w tem nic nowego, nic oryginalnego. Te zabawki dziecinne

Tymczasem Galicya skazaną jest na pozostanie krajem wyłącznie prawie rolniczym. Przemysł w niej, pomimo wysiłków rządu i ludzi prywatnych, na szerszą skalę rozwinąć się nie może, bo przy kapitalistycznym systemacie wytwarzania potrzebuje rynków, których mu nie mogą dostarczyć inne kraje monarchii, wyżej posunięte w kulturze. Na wywóz do Rosyi również liczyć nie powinien, naprzód ze względów celnych, powtóre w skutek współzawodnictwa przemysłu Królestwa, będącego pod tym względem w daleko pomyślniejszych warunkach. Nieuwzględnienie tego stanu rzeczy prowadzi autora do zalecania wzorów wziętych z Anglii i przeszczenia ich żywcem prawie na grunt krajowy. Uprawa forsowna tam jest możliwą, gdzie znaczny rozwój miast i fabryk otwiera na miejscu pole zbytu dla produktów rolniczych, ale na wywóz wytwarzać mogą tylko gospodarstwa prowadzone mniej lub więcej ekstensywnie. Zapewne i pod tym względem mogą być znaczne różnice — dość porównać Rosyę i Amerykę; zapewne i ten system nie wyłącza ulepszeń, ale dlatego właśnie trzeba zdać sobie jasno sprawę z warunków. Dodać należy, że niezbędnym prawie jego warunkiem jest tani robotnik, wytwarza więc z biegiem czasu proletaryat rolny — czego zresztą w Galicyi i dziś już nie brak — czy ze względów społecznych życzyć sobie tego należy?... Słowem, znajdujemy się tu w zaczarowanem kole, z którego jedynem wyjściem jest radykalna zmiana podstaw gospodarstwa społecznego — inne środki choroby nie leczą, tylko odraczają chwilę przesilenia.

P. Skrzyński posiada jednak inne lekarstwo, na które receptę, przytoczyliśmy już powyżej. Kapitał, umiejętność, praca! Cenne to środki—ani słowa i w każdym wypadku stosowanemi być powinny, ale potrzeby operacyi nie zastąpią. Zresztą kapitału z rękawa wytrząsnąć niepodobna, a choćby się znalazł, to nawet większej własności nie pomoże, bo ona go na tani procent nie dostanie, w kraju, gdzie rząd płaci za pożyczki państwowe 6 od sta.

Umiejętność w każdej okoliczności i przy każdym ustroju społecznym przyda się niezawodnie i nawoływania w tym kierunku zawsze mają racyę bytu, ale podówczas gdy panów trzeba tylko zachęcać, ludowi należy dać środki zdobycia wiedzy. W Galicyi nie jest to trudnem wcale — i straszna odpowiedzialność cięży na tych, którzy mogą to uczynić, a nie chcą. Pozostaje jeszcze praca, która doprawdy nie wygląda tak smutnie, jak się p. Skrzyńskiemu zdaje. Niema wątpliwości, że nasz robotnik pracuje z mniejszem natężeniem, aniżeli zagraniczny; ale oprócz piętnowania narodowego lenistwa zastanowić się warto, czy zwiększony wysiłek opłaciłby się mu należycie, czy przy spotęgowaniu go nie pozostałoby wiele rąk bez zajęcia, a wiele żołądków bez chleba? Dlaczego ten sam chłop polski w Niemczech, w Ameryce uważany jest za wybornego robototnika? Nakoniec, czy on wiecznie ma być tylko siłą pociągową?

Skargi na drożyznę czeladzi są uzasadnione i autor z uprzedzającą grzecznością sam dostarcza najsilniejszych, cyfrowych argumentów przeciw sobie. Rozpatrzmy nieco te dane.

W powiatach północno-wschodnich parobek pobiera 18 rs. pensyi i 9 korcy ordynaryi, podczas gdy w sąsiedniej gubernii lubelskiej dostaje średnio od 24 do 30 rs. i 12 korcy. Dziewka na stole dworskim 14½ rs., w lubelskiem 18 — 20. W niektórych miejscowościach roczna płaca parobka spada do 15 rs. W powiatach północno-wschodnich męski dzień letni kosztuje od 22½ do 30 kopiejek, a kobiecy i dziecinny od 18 do 21; gdzieindziej zniża się nawet do 14 — 15 kopiejek. W zimie zarobek jest jeszcze mniejszy — mężczyzna na pograniczu lubelskiem dostaje od 13 do 22 kopiejek, a kobieta nie wyżej nad 16 — a we wschodnio-środkowej Galicyi tylko 12.

Inaczej zresztą być nie może, ze względu na znaczną ilość bezrolnego proletaryatu. Utyskiwania więc więc autora na trudność w dostaniu robotnika upadają wobec faktu płacy.

P. Skrzyński utrzymuje, że w Anglii i Francyi zapłata nie o wiele *jest* wyższą. Należało powiedzieć *była*, gdyż dane o tem czerpał on z dzieł wydanych przed kilkudziesięciu laty, co już poprzednio wykazała *Prawda*, mówiąc o jego broszurze p. t.: *Stan robotnika wiejskiego w Galicyi*. Już to wogóle zestawienia statystyczne są najsłabszą stroną dziełka. Autor bierze potrzebne mu cyfry z dzieł wydanych w rozmaitych czasach, a na tem dowolnem porównywaniu najgorzej wychodzi Królestwo, które nawet obok Galicyi wygląda jak siedziba wyjątkowej nędzy. Kalendarz astronomiczny z 1860 r. i wysoko tendencyjna praca praca p. Załęskiego dostarczają materyału do porównań z danemi o Galicyi lat ostatnich. Wartość wielu cyfr jest więcej niż wątpliwa. Tak np. według autora w Królestwie z 2,400,000 morgów obsianych owsem zbiera się zaledwie 4,200,000 korcy plonu. Jako specyalista-rolnik powinien p. Skrzyński wiedzieć, że na taką przestrzeń wysiew owsa jest nie mniejszy, a może i większy (od 1½ — do 2 korcy na morg) — czyżby więc zbiór go nie przewyższał? Prawda, że są u nas okolice, o których przysłowie mówi: „bodaj to nasze sławne urodzaje, korzec zasiej, kopę zbierzesz, kopa korzec daje;“ ale nawet i w zastosowaniu do nich jest to uprawnioną w poezyi hyperbolą, która jednak w poważnej pracy nie powinna znaleźć miejsca.

Na zakończenie kilka słów o społeczno-politycznym programacie autora. Zwraca się on do szlachty, zaleca jej życie na wsi i wytrwałą pracę społeczną. W trzeźwej, organicznej działalności, w konsekwentnej, rachującej się z okolicznościami polityce szuka lekarstwa na niemoc narodową. Tu właśnie znajduje się punkt styczny przekonań autora z zasadami, które *Prawda* przedstawia. Dziwnie tylko nie licuje z tem ustęp poświęcony wychwalaniu lordów angielskich i zalecanie naśladowania tego wzoru, w którym autor, nie wiedząc o tem, staje na stanowisku uprzywilejowanej wyłączności klasowej.

Może to zresztą tylko zwrot nieszczęśliwy.

Oddając autorowi należne uznanie za jego dobre chęci i szczere pragnienie służenia publicznej sprawie, powtarzamy raz jeszcze, że jego program w wielu punktach jest dla nas za ciasny i jednostronny; prawda mieści się on w naszym, ale go nie wypełnia i dokładnie nie przedstawia.

Wreszcie do kończących pracę słów Franklina: „jeżeli wam kto mówi, że możecie inną drogą jak przez pracę i oszczędność dojść do potęgi i bogactwa, nie słuchajcie go — on was truje“ — dodamy maleńki przypisek: jeżeli kto wam na chorobę społeczną przepisuje jedno tylko niewinne lekarstwo, nie wierzcie mu, bo on z najlepszą wolą bezwiednie was bałamuci.

J. L. P.

TOWARZYSTWO ZACHĘTY PRZEMYSŁU I HANDLU.

Doświadczenie nauczyło już nas poniekąd, że drogą koniecznego na dziś przystosowania się do istniejących warunków i umiejętnego ich wyzyskania prędzej cośkolwiek osiągnąć możemy, aniżeli wygłaszaniem półgębkiem bezpłodnych skarg o niemożliwości działania, które nikogo nie wzruszą i do żadnej budowy materyału nie dostarczą. Jakakolwiek działalność, chociaż-

---

najlepiej powinny nas przekonać, jak mało pomysłowości ma dzisiejsze pokolenie. Same oklepanki. We wszystkich gwiazdy, lilie, orły, boginie, sztandary i tym podobna starzyzna.

— Już niema wątpliwości, mówi o moich poezyach — westchnął nasz bohater.

— Za pozwoleniem, tu jest smok!

— A to się ściąga do mojej ballady o smoku — pomyślał sobie poeta.

— Doprawdy to gust japoński!

— Zresztą nie zdaje mi się, żeby one były oryginalne.

— Ba, wierzę! Założyłbym się, że przynajmniej trzecia część tego zbioru jest naśladowaniem.

Przeszli do innego przedmiotu.

Poeta powstał i, przechodząc obok zarozumiałych młodzików, obrzucił ich spojrzeniem pełnem najgłębszej pogardy, a jednocześnie ujrzał w ręku jednego z nich otwarty zbiorek — nalepionych marek pocztowych.

Nasz poeta dawał w pewnym zamożnym domu lekcye muzyki na fortepianie. Jego uczennica — ale nie, nigdy! nie zdobędę się na opisanie jej anielskiej piękności moim prozaicznem piórem; przeczytajcie lepiej pierwszy poemat mojego bohatera, w którym odmalował ją z pomocą złota i śniegu, porannej zorzy i rosy, w którym włożył na jej złociste warkocze koronę z najpiękniejszych brylantów swej poezyi.

Ojcem tej roskosznej istoty był znany patryota, powszechnie szanowany obywatel, członek wielu bractw i stowarzyszeń narodowych, gorliwy protektor ludowej oświaty, a jego podobizna z hasłem: „Tarczą i bronią narodu — są jego zwyczaje i mowa!“ zdobiła wystawy wszystkich księgarń. Niema najmniejszej wątpliwości, że musiał kupować przynajmniej lepsze utwory swojskiej literatury, a pomiędzy innymi i szczęśliwe poezye naszego bohatera dostały się do rąk ukochanego dziewczęcia. Może już wyczytała we wstępnym poemacie gorące wyznanie miłości, które tam umieścił.

Z bijącem sercem zbliżał się do jej pokoju.

Wyszła naprzeciw niego z ozdobnie oprawną książką w ręku.

— Ach! Toż najoczywistszy dowód!

— Czy podoba się panu ta okładka?—panie Swietly.

— O, te słabe próby nie są godne tak bogatej sukni.

— Bynajmniej, panie! Wierszyki te są bardzo piękne. Przeczytałam już dwa — wczoraj przed zaśnięciem.

Swietly wyobraził sobie w duchu, jak te wiersze spoczywały na białej zasłonie, okrywającej jej piersi, jego serce zadrżało ze zbytku szczęścia, a z jego ust wybiegło pytanie:

— Jak się pani podobał pierwszy wierszyk?

— Ha-ha-ha — roześmiała się w odpowiedzi dźwięcznym głosem.

— Ach, pani, jak możesz się śmiać! Czyż z niego nic nie wyczytałaś, nic; czyś pani nie poznała w opisanej tam osobie, w tych rysach, szyi, oczach twojej znajomej... powiem otwarcie — znajomej ze zwierciadła?!

— Jakto? Tego zanadto! — zawołało dziewczę z gniewem. Uprzejmym pan nie jesteś wcale, panie Swietly!

Zmieszany poeta spojrzał w rozpaczy na książkę, którą trzymał w ręku. Na okładce pośród złoconej girlandy z dębowych liści

by najskromniejsza, chociażby ściśle nieodpowiadająca naszym życzeniom i projektom lepszą jest, od próżniaczego wyczekiwania na pieczone gołąbki. Przeświadczenie to, mimo że nie stało się jeszcze zasadniczem hasłem społecznego programu, powoli jednak zyskuje sobie coraz szersze uznanie. Świadczą o tem świeżo zaszłe fakty — o jednym z nich chcemy właśnie pomówić.

W zeszłym tygodniu na posiedzeniu techników p. W. Kiślański oświadczył, że grono osób, uznających potrzebę czynnego rozwoju ekonomicznego kraju, postanowiło wziąść na siebie inicyatywę zawiązania w Warszawie filii petersburskiego Towarzystwa zachęty przemysłu i handlu. W tym celu wniesiono podanie do komitetu Towarzystwa, który projekt chętnie przyjął, minister skarbu zaś, od którego, według ustawy, zależy zatwierdzenie, odpowiedział, że ponieważ przed dziesięciu laty z pozwolenia rządu istniała już filia w Warszawie, więc obecnie należy ją tylko przywrócić, na co wszakże potrzebną jest zgoda władz miejscowych. Generał-gubernator warszawski ze swej strony dał przychylną opinię i zezwolił na zwołanie przedwstępnego zebrania. Po ożywionych obradach przystąpiono do zapisywania się na członków przyszłej filii i pozyskano osiemdziesiąt cztery podpisy. Osoby te będą założycielami instytucyi i po zatwierdzeniu ich zwołanem zostanie ogólne zebranie dla ostatecznego ukonstytuowania i przedsięwzięcia pierwszych czynności.

Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu postawiło sobie za cel opiekę nad przemysłem krajowym i rozszerzanie zarówno wewnętrznego, jak i zewnętrznego handlu. Atrybucye jego są dosyć obszerne. Może ono zajmować się roztrząsaniem wszelkich kwestyj z tych sfer działalności społecznej, opracowywać i wydawać materyały i dzieła odpowiednie, popierać przedsięwzięcia użyteczności powszechnej, a co najważniejsza, ma prawo czynienia starań i przedstawiania rządowi projektów oraz wniosków w sprawach przemysłu i handlu.

Pomijamy kwestyę organizacyi władz Towarzystwa, zaznaczymy tylko, że filie posiadają zupełnie wystarczającą samodzielność i zakres działalności ograniczony słusznie do spraw miejscowych. Wszelkie wnioski i projekty, czy to od członków, czy od osób zewnątrz pochodzące, winny być odsyłane komitetowi w Petersburgu do ostatecznego rozpatrzenia. Członkowie sami wybierają sobie prezesa oraz wydział i tylko zawiadamiają o tem główny zarząd.

Filia powstająca w Warszawie obejmie działalnością swoją całe Królestwo, nie tak jak łódzka, która ma zakres bardziej ścieśniony. Obrady członków odbywać się mogą w języku polskim. Z piętnastorublowych opłat, wnoszonych przez uczestników, 10 rs. idzie na rzecz komitetu a 5 pozostaje w rozporządzeniu filii; wszelkie nadzwyczajne wpływy pozostają jej własnością.

Taką jest ustawa. Już na pierwszem posiedzeniu niektórzy członkowie proponowali pewne jej zmiany, na co odebrali słuszną odpowiedź, że przychodzą nie z prawem, lecz do prawa. Wszelkie nowe projekty spowodować mogą tylko opóźnienie działań; na zmiany, jeżeli te okażą się koniecznemi, czas będzie później.

Jak widzimy, Towarzystwo przemysłu i handlu posiada rozległe pole działania. Zbytecznem byłoby określać ważność jego zadań. Główny punkt ciężkości, zdaniem naszem, spoczywa nie w połączeniu różnych gałęzi przemysłu, a właściwie mówiąc — przemysłowców, nie w wytworzeniu instytucyj wzajemnego kredytu, zapomogi itd.— na co głównie naciskali przemawiający i wtórująca im część prasy, ale w możności czynienia starań u rządu w sprawach ekonomicznych, ogół cały obchodzących, ale w zbieraniu i publikowaniu wiadomości tyle nam potrzebnych. Tak pojmuje zadanie swoje petersburskie Towarzystwo, nie ogranicza ono pracy swej do pewnej sfery, ale ma na widoku szersze cele społeczne; spodziewać się więc należy, że i warszawska filia wstąpi w jego ślady. Zapewne i w ograniczonym zakresie filia Towarzystwa (jak np. w Łodzi) przynieść może pewną korzyść, ale jeżeli ma być instytucyą użyteczności powszechnej, jeżeli pragnie pozyskać poparcie i uznanie ogółu, powinna objąć jak najszersze widnokręgi i stać się przedstawicielką interesów krajowego przemysłu i handlu, a nie interesów fabrykantów i kupców. Zbiorowe działanie, stanowiące siłę, podstawę i cel stowarzyszeń przejawiać się może tylko w sprawach, mających ogólniejsze znaczenie i dla egoistycznych lub ściśle fachowych pożądań nie ma wcale prawie znaczenia. Tą drogą jedynie powstająca instytucya pójść powinna i takiemi zapewne są zamiary jej inicyatorów. Dlatego pożądanym byłby w niej jak największy udział sił inteligentnych i obywatelskich, ożywionych miłością dobra publicznego, który nie pozwolił by jej zasklepić się w ciasnym obrębie interesów.

L.

ŁUNA NIEBA.

Krwawo-złotawy odblask nieba, który i my przez kilka tygodni obserwowaliśmy, wywołał mnóstwo tłomaczeń. Pomijając inne domniemania, na uwagę zasługują dwa: jedno ową łunę objaśnia działaniem wulkanów, drugie — załamywaniem się światła w kryształkach lodowych, napełniających powietrze (Falb). Chociaż zagadka pozostaje dotąd nierozwiązaną, warto słuchać przypuszczeń ludzi kompetentnych. Z wielu wywodów, przytoczymy tu jeden A. Ch. Bauera.

Od kilku tygodni — powiada on — matka natura daje swym dzieciom nadzwyczajne, dziwnej piękności i wspaniałości przedstawienia niebieskie podczas wschodu i zachodu słońca, które ściągają uwagę i zyskują poklask wszystkich widzów, oraz pobudzają do spostrzeżeń i zastanowień zarówno badacza, jak i zwykłego człowieka. Wszystkie gazety przynoszą pełne łamy szczegółów z najrozmaitszych okolic ziemi, dla *Timesa* i *New-York-Herolda* pracuje nawet drut telegraficzny, a w czasopiśmie angielskiem *Nature*, w którem żaden przedmiot nie zajmuje więcej, niż dwie stronice, nic innego nie zwraca większej baczności.

Z początku, w pierwszych dniach zjawiska, obiegały najrozmaitsze objaśnienia, którym nie zbywało na szybkości, ale których prawdopodobieństwo i słuszność wiele pozostawiały do życzenia. Większa ich część upadała już przez to, że zjawisko nie okazało się — jak niemal powszechnie przypuszczano—ograniczonem do pewnego miejsca i czasu, lecz było widzialnem szeroko i trwało długo. Ze wszystkich części świata i ze znajdujących się na pełnem morzu okrętów przybiegały wiadomości, a od pierwszego dnia dostrzeżenia zagadkowego światła (30 sierpnia) do dziś upłynęło przeszło cztery miesiące, a zjawisko nie znikło. Dopóki to nie nastąpi, wszelkie wywody są jedynie tymczasowe; wogóle wszakże można się wahać tylko między dwiema hypotezami.

Pewna liczba badaczów mniema, że owa łuna nieba powstaje z obłoku nieskończenie delikatnych kryształów lodowych, który tuła się w przestrzeni i obecnie spotkał się z naszą ziemią. Rzeczywiście szereg względów przemawia za tą hypotezą. Przypuszczenie udziału wody nasuwa się przedewszystkiem, bo przecież nasza codzienna zorza poranna i wieczorna jest dziełem tej materyi, przenikającej powietrze. Ale pod-

---

błyszczał napis: *Hans-Sauerkohl's Gedichte*, a tytuł pierwszego poematu brzmiał: „An meine Angora - Katze.“

Poetę, wychodzącego z pokoju w tem wzniosłem przekonaniu, że piękna uczenica ani się domyśla jego wieszczych zdolności, zatrzymał jej ojciec i poprowadził do swej pracowni.

Stary jegomość usiadł poważnie na fotelu i skinął na Swietlego, aby sobie przysunął krzesło.

— Przekonałem się, że jesteś pan człowiekiem bardzo zdolnym — zaczął łaskawie.

Swietly wybełkotał coś o zbytniej łaskawości.

— Chcę pana prosić o pewną przysługę— na korzyść sprawy świętej dla nas obu — ciągnął szczęśliwy ojciec. Czy pan nie zauważył, że duch narodowy u nas słabnie, że ciąży na nim jakieś przygniatające brzemię, że na wszystkie strony daje się czuć nieczynność i rozprężenie? Czas już wielki zaradzić temu, rzucić w naród iskrę elektryczną, któraby go popchnęła do nowej działalności, wzbudziła w nim nowy zapał ku świętej sprawie. Na nic tu się nie zdały rozprawy w klubach, na nic pomysły wyższej polityki: musimy zstąpić do ludu, przemówić do niego płomiennym językiem, pokazać mu jego przedwieczne palladia: jego stare prawa, mowę, literaturę, wiedzę, wzniecić w nim entuzyazm słowami dobitnemi, ognistemi, wzniosłemi.

— Cóż, nie chciałbyś pan na ten cel dołożyć i swojej cząstki?

Poeta był radośnie zadziwiony. Więc czytał przecie jego zbiorek i chce go zachęcić do pieśni patryotycznych. Odpowiedział skromnie:

— Przeceniasz pan moje słabe siły. Próbowałem wprawdzie rozmaitych rodzajów liryki, ale do potężnej poezyi tendencyjnej nie czuję w sobie dość uzdolnienia.

Stary jegomość wytrzeszczył nań zdziwione oczy.

— Co tam poezyє? Ha-ha-ha! Ani mi się śniło namawiać pana do tak niewdzięcznego zajęcia. Ha-ha-ha!

Przez chwilę śmiał się serdecznie, potem przywrócił swej twarzy poważny wyraz i ocucił skruszonego i gorzko zawiedzionego poetę słowami: „Nic nie szkodzi! Słuchaj pan, jak się rzeczy mają. Wydaję broszurę polityczną. Jużem ją prawie skończył. Muszę się jednak przyznać, żem nie miał ani czasu, ani chęci zabawiać się nowszymi utworami literatury i stąd też moja pisownia pozostała cokolwiek staroświecką. Wszak wasza nowa pisownia, to czysta wieża Babel. Otóż chciałem pana prosić, abyś mój rękopis pod tym względem, gdzie trzeba, poprawił. Tak, drogi panie! Za tytuł broszurki wybrałem moje hasło: „Tarczą i bronią narodu—są jego zwyczaje i mowa!“

W nocy po tej zwycięskiej wyprawie śniło się Swietlemu, że wszystkie jego poematy przyleciały do niego i, ze łzami w oczach, czyniły mu gorzkie wymówki za to, że je wydrukował.

— Damy nowe okładki i drugie wydanie gotowe — pocieszał go po roku wydawca. Roześlemy je wszystkim przyjaciołom piśmiennictwa—kilka egzemplarzy jakoś się przecie wypchnie.“

Tłom. *W. Przesmycki.*

czas gdy pierwsza na 15 — 20 minut przed wschodem występuje, a druga również zaraz po zachodzie znika, tu mamy zjawisko, trwające przez kilka godzin. Słońce znajduje się już 20 — 30 stopni pod widnokręgiem, przebyło z drugiej strony już kawał drogi, a jego odblaski jeszcze dochodzą do naszego oka. Jest to możliwem tylko wtedy; gdy odbłyskujące lub łamiące światło ciała, które promienie słońca odchylają z ich kierunku ku górze i zwracają ku dołowi na powierzchnię naszej ziemi, gdy ciała te mają swoje siedlisko w wielkiej wysokości, tak wielkiej, że promieniom słońca krzywizna ziemi nie przeszkadza do nich dojść. Według tego obliczyć można wysokość, (albo raczej jej minimum), w której zachodzi owo zaognienie się nieba; wynosi ona jedną a prawdopodobnie kilka mil. W tak olbrzymiej wysokości istnieją zupełnie inne stosunki, niż w warstwach powietrza, unoszących się bezpośrednio nad naszemi głowami. Powietrze jest tam nadzwyczaj rzadkie a wielka odległość od ciepłej powierzchni ziemi wytwarza ostre zimno. Jeżeli więc tam zatrzyma się woda, musi ona ściąć się w kryształy lodu, o których istnieniu wnosić można z innych objawów, mianowicie z pięknego pierścienia światła, który widujemy rzadziej około słońca, częściej zaś podczas chłodnych nocy letnich około księżyca w znacznym odstępie 22 stopni. Ażeby podobne igiełki pojawiały się w tak kolosalnej wysokości, jakiej wymaga obecne zjawisko, dotąd rzeczywiście nie sądzono; ponieważ zaś rumieniec nieba rozpościera się nad całą ziemią, wyłączoną więc jest możliwość pochodzenia tej masy kryształów z wód ziemi, przeniesionych prądami powietrza w owe zimne sfery. Pozostaje więc tylko przyznać im charakter kosmiczny i przyjąć, że ziemia na drodze swej około słońca, we wrześniu roku zeszłego, spotkała do systemu planet jako samodzielne ciało należący obłok lodowy, i pozbawiwszy go samodzielności, wlecze teraz za sobą.

Hypotezę tę można rozwinąć dalej i zastanowić się np., skąd właściwie pochodzi ów obłok lodowy, który przecie chyba od wieków nie miał odrębnego bytu. Wiadomo, że komety, najbardziej zagadkowe ze wszystkich ciał niebieskich, oprócz jądra, posiadają jeszcze kulistą powłokę, która zwykle jest nieznaczną i ledwie widzialną, ale przy zbliżeniu się ich do słońca, skutkiem mocniejszego promieniowania zamieniona na parę i jakąś siłą, prawdopodobnie elektryczną odrzucona, tworzy t. z. ogon. Jeżeli przypuścimy, że para ta jest po części wodną, i zważymy, że wielkie jej masy często oddzielają się od komet, gdy one stracą nad sobą władzę, to otrzymamy pożądaną odpowiedź. A dodać trzeba, że właśnie w listopadzie łuna nieba przybiera najżywszą barwę; jest to miesiąc, w którym kiedyś kometa Biela tak groźnie zbliżyła się do naszej ziemi, że niemal przed oczyma obserwujących ją astronomów zginęła jako świat jednolity.

Widzimy, że teorya mgły lodowej ma swoje uzasadnienie; niektórzy badacze przytoczyli przeciwko niej drobne wątpliwości o których tu rozprawiać nie będziemy. Nie lekkość bowiem własnej wagi podnosi szalę tej pierwszej hypotezy, ale niezwykła ciężkość dowodów przemawia za drugą.

Jeżeli jakiekolwiek zjawisko ubiegłego roku walczy co do wspaniałości z łuną nieba, to tylko — chociaż innej natury — owa straszna katastrofa na cieśninie zundzkiej, w której przyjęły przerażający udział wszystkie cztery żywioły: woda, ziemia powietrze i ogień. Przez trzy dni (od 26 — 28 sierpnia) trwały wybuchy wulkaniczne w olbrzymim rozmiarze, sięgając Indyj i Australii. Powietrze było tak napełnione kurzem i popiołem, że w Batawii i innych miejscach panowała nieprzenikniona ciemność, wszystkie zaś przedmioty, a zwłaszcza domy pokryły się warstwą białego nalotu, przypominając osadnikom holenderskim obraz zimy ojczystego kraju. Jeżeli więc dni następne po tej, w historyi ziemi prawie niesłychanej katastrofie sprowadziły inne, również dziwne zjawisko, kombinacyjny zmysł ludzki nie mógł się oprzeć powiązaniu obu tych wypadków a ich następstwo uznać za dzieło trafu.

Pierwszym, który oświadczył się publicznie za wulkaniczną teoryą łuny niebieskiej, był astronom angielski Lockyer, wielce zasłużony w postępach optyki nieba. Z początku ideę jego przyjęto z niedowierzaniem. Pytano bowiem, czy podobna, ażeby pył, wyrzucony przez wstrząśnienie jawańskie, przeleciał do Europy, a następnie, czy to stać by się mogło z tak nadzwyczajną szybkością. W Japonii już 2 września, a więc zaledwie po tygodniu, dostrzeżono wpływ owych mas na słońce, które odbijało się na niebie krwawo; musiałyby więc one, jeśli istotnie pochodziły z cieśniny zundzkiej, przebiegać dziennie przeszło sto mil. Tymczasem zauważyć tu trzeba, że, skoro drobne przyczyny wywołują często wielkie skutki, w obecnym wypadku mamy przyczynę potężną, w której działają niepojęte siły natury. Większe masy kamieni, które wybuch dobył z wnętrza ziemi, okryły powierzchnię morza prawie nieprzebitą dla okrętów warstwą; jak wysoko zaś musiały chmurą wzlatywać nawet średnie odłamy, widać z tego, że okręty, znajdujące się w odległości 2 — 300 mil, zostały zasypane deszczem kamieni i popiołu. W wyższych pasach atmosfery krążą daleko silniejsze i szybsze prądy powietrza, niż na dole, prędkość zatem, z jaką masy pyłu rozpostarły się po ziemi, nie jest nienaturalną, zwłaszcza gdy cieśnina zundzka leży w tym odstępie od równika, w którym owe wyższe prądy powietrza działają najżywiej. Można nawet z nadesłanych doniesień oznaczyć drogę, po której masy biegły. Już 28 sierpnia zjawiska świtania ukazały się na wyspie Mauritius i w Sechellach, 1 września dostrzeżono je w Cap Coast Castle, angielskiej osadzie na zachodniem wybrzeżu Afryki; 2 i 3 września już w Trinidadzie i Panamie, a 5 września, zatem po dziewięciu dniach, zapłonęło niebo nad Honolulu, stolicą wysp sandwiczskich. Z różnych punktów tej drogi, skutkiem prądów równikowych, zwróconych ku północy i południowi, mogły części owych obłoków kurzu rozczepić się i skierować z jednej strony na Europę i Amerykę północną, a z drugiej—na Afrykę południową. Prądy równikowe sięgają wprawdzie do znacznych wysokości, ich prędkość wszakże ustępuje wspomnianym wyżej, od wschodu ku zachodowi skierowanym wiatrom. Potwierdza to domniemanie okoliczność, że we wzmiankowanych krajach strefy umiarkowanej zjawisko rozpoczęło się dopiero w połowie lub pod koniec września, a za to skutkiem zwykłego w naszych szerokościach zastoju wiatrów dłużej trwało. Jeszcze w ostatnich dniach przeszłego i pierwszych obecnego roku łuna nieba powtarzała się prawie nieosłabiona, a nie wiadomo, kiedy strop niebieski przybierze ostatecznie swoją codzienną szatę.

Zestawiwszy obie teorye, niełatwo zdecydować się na wybór między niemi, chyba że kosmiczną, jako śmielszą, odrzemy z jej ziemskiej. Ale przybywa *experimentum crucis* i rzecz zmienia się odrazu. W Wageningen, holenderskiem miasteczku, zerwała się 13 grudnia rano gwałtowna burza z deszczem i gradem. Zastanawiającem w deszczu było to, że każda kropla po wyparowaniu pozostawiała stały osad szary. Zwłaszcza okna ku zachodowi zwrócone były formalnie pokryte tego rodzaju plamami. Bezwątpienia taki brudny deszcz nie jest niczem rzadkiem; gdy wszakże osad zbadano pod mikroskopem i porównano z nadesłanemi próbami popiołów wybuchu jawańskiego, znaleziono te same części składowe. Jedyną różnicę stanowiła większa ich delikatność w osadzie. Podobny rezultat otrzymano z rozbioru wcześnie spadłego śniegu w Madrycie.

Doświadczeniom tym trudno odmówić poważnej siły dowodowej i wyznawcy hypotezy obłoków lodowych —z których jeden wyprowadził już najrozmaitsze wnioski, a między innymi smutną wróżbę, że nadchodzi okres bardziej deszczowy, niż obecny —muszą uledz koniecznej porażce. Może to uczynią z lżejszem sercem, gdy się dowiedzą, że omal niewątpliwy związek między wulkanizmem i łunami nieba jest wprawdzie wysoce ciekawym, ale bynajmniej nie nowym. Tak np. obserwowano na niebie znaczne masy pary, które zabarwiały słońce na zielono, niebiesko, lub czerwono w czasach, kiedy Hekla na Islandyi działała ze szczególną energią. Pewien podróżnik, niedaleko wysp sandwiczskich, widział wczesnym rankiem niebo, mieniące się wszystkimi kolorami cudownego blasku, a znany turysta górski Whymper powiada, że obecne zjawisko nieba zaraz przypomniało mu obraz, jaki widział podczas swych wycieczek w Ameryce południowej, gdy powietrze, skutkiem działania szczytów And, napełniło się parami wulkanicznemi. Wielkie też podobieństwo ze zjawiskiem ubiegłych miesięcy przedstawia późne lato 1831 r., w którem na południu Sycylii podniósł się z morza wulkan, wyrzucający w powietrze dym i popiół, a jednocześnie także, jak obecnie, zorze wieczorne, widziano w całej Europie.

A więc delikatne, niezliczone szczątki skał, spoczywające niegdyś w łonie ziemi, błyszczą dziś jako zwierciadło światła słonecznego na sklepieniu nieba...

T.

Kolonie angielskie.

(Dokończenie).

Przekopanie Suezu zbliżyło znacznie Anglię do Australii. Ta ostatnia obchodzi nas bardziej, aniżeli inne angielskie nabytki, a to dla tej przyczyny, że tam powstaje silne dla wytworów naszych współzawodnictwo. W Australii podnosi się uprawa pszenicy, jęczmienia, owsa, kartofli i chów bydła na wielką skalę, nie mówiąc o latorośli winnej i drzewach oliwkowych, nieinteresujących nas. W roku 1878 obrachunek statystyczny w samej tylko Australii południowej wykazuje: 121,558 koni. 251,802 sztuk bydła rogatego, 6,377,812 owiec i 103.422 szt. nierogacizny. Cyfry te przed laty pięciu były, z wyjątkiem owiec, o dwa razy mniejsze. Stosunek podobny zachodzi w Australii zachodniej. Z Nowej Wallii w r. 1870 wywieziono wełny 57,399,707 funtów za 3,268,274 funt. szt.. w 1878 — 116.005,930 funtów za 5,960.206 f. szt. W słabszym nieco stosunku wzrósł wywóz wełny z Wiktoryi. Gdy przeto nadwiślańskim hodowcom owiec ceny na wełnę niedopisują na jarmarkach, niech wiedzą przynajmniej, skąd im podryw przychodzi. Wiedząc, pomyślą może o środkach zaradczych. *Savoir c'est pouvoir*. Ludność w Australi wzrasta szybko w liczbę, a równolegle do wzrostu tego rozwija się rolnictwo, hodowla bydła i owiec. Przewidywać więc się godzi, że nie na prawnuków naszych spadnie zawalenie wełną australską i zasypanie zbożem australskiem rynków, na których zbyt znajdują wełna i zboże pochodzące z nad Wisły, Dniepru i Dźwiny. Len nawet — len w Australii z powodzeniem uprawiać zaczynają.

Australia dzieli się na siedem kolonij, z których pięć, Nowa Wallia południowa, Wiktorya, Queensland (Kraina królowej), Australia południowa i zachodnia, znajdują się na lądzie stałym, tworząc klasyczną

kolonizacyę angielską na ziemiach nie osiedlonych. Każda z części tych posiada autonomię zupełną wedle konstytucyi angielskiej, zmodyfikowanej w niektórych punktach stosownie do wymóg miejscowych. Gubernator zastępuje króla wobec władzy prawodawczej miejscowej w tem znaczeniu, w jakim go zastępuje ministerstwo wobec parlamentu Anglii, dzierży w ręku swoim władzę wykonawczą i jest za czynności swoje odpowiedzialnym. Władza prawodawcza składa się z dwóch Izb: wyższej, zwanej „radą prawodawczą,“ będącej tem samem co Izba lordów i niższej, „zgromadzenia prawodawczego,“ zależnego od wyborów. Jest to wierne odbicie matki-ojczyzny, zmieniające się, z powodu oddalenia, w respublikę. Monarcha przedstawia się tam pod postacią idealną panującego, ale nie rządzącego, jak w Anglii, i, w dodatku, zawsze nieobecnego. Koloniści na tem nie cierpią. Zależą oni w instancyi ostatniej od parlamentu, do którego nie odwołują się, chyba w kwestyi bardzo ważnej, jak naprzykład, gdy Queensland pozwiął był zamiar Nową Gwineę na rzecz korony angielskiej zagarnąć i zamiaru dokonał za pomocą zatknięcia sztandaru angielskiego. Rząd zagarnięcia tego nie uznał.

Wzorem kolonizacyi drugiego rodzaju, to jest takiej, którą Anglia posiadła prawem zdobyczy, jest Kanada. Obszerna ta kolonia francuzom odebrana stanowi federacyę (*dominion*) na podobieństwo Stanów Zjednoczonych. Kształt ten powstał wskutek sąsiedztwa z potężną i niebezpieczną rzecząpospolitą amerykańską i to sprawił, że Kanada jest też rzecząpospolitą *de facto*, podległą bezpośrednio koronie; ale, jak władza tej ostatniej jest nominalną, tak podległość fikcyjną, przechodzi ona bowiem przez kanał ministeryalny w Londynie, ministerstwo zaś angielskie odpowiedzialnem jest przed parlamentem. Stąd podległość istotna odnosi się do parlamentu, który ma prawo członków gabinetu zapytywać i interpelować we wszystkiem i o wszystko, co w zakres interesów angielskich wchodzi, bez zważania na różnice w stosunkach zależności. Rzecz cała tyczy się formy. Postanowienia parlamentu dla samej Anglii mocy prawa nie posiadają, póki nie uzyskają zgody królewskiej. Zgoda ta wobec Anglii jest sankcyą, wobec Kanady rozkazem (*le bon plaisir*) królewskim. Na tem polega różnica, skutkiem której kolonie jedne uważają się, jako niepodległe, mające jeno wspólnego z Anglią króla, drugie, jako wchodzące do składu królestw Wielkiej Brytanii i Irlandyi. Tak niepodległem jest cesarstwo indyjskie, niepodległa wyspa Jersey, Malta i in., ale nie Australia. Forma! Położenie wyspy Cypr odmienne z tego powodu, że liczy się ona jako własność Turcyi przez Anglię administrowana.

Kanada pod względem finansowym starczy sama sobie, gdy zaś braku doznaje, pożyczkę na własny rachunek i na własną zaciąga odpowiedzialność. Budżet jej w r. 1882—1883 przedstawiał się tak: dochodów 30,600,000 piastrów, rozchodów 27,400,000 (piastr = 5 fr. 35 centimów). Dług w r. 1882 wynosił piastrów 154,085,910. Kraj przeważnie rolniczy; artykułami handlu wywozowego najdochodniejszymi są: drzewo konie, bydło i ryby. Ludność w roku 1881 liczyła 4,324,810 głów, a na to 1.298,929 francuzów, potomków kolonistów pierwotnych, których anglicy wynarodowić usiłowali i przez lat sto w kierunku tym działali, w końcu atoli musieli dać za wygranę. Francuzi, którzy zaludniają dolną Kanadę, utrzymali się przy języku i wyznaniu własnem i wzrastają w liczbę. W chwili ustąpienia kolonii Anglii (1763) było ich 65,000, w przeciągu więc 118 lat pomnożyli się o dwadzieścia razy, i to bez pomocy emigracyi, która ustała była zupełnie i wostatnich dopiero czasach wzmogła się nieco, nie bardzo jednak, albowiem w Kanadzie znajduje się tylko 4,389 francuzów we Francyi urodzonych. Ludność atoli angielska powiększa się w stosunku znaczniejszym. Rasa anglo-saska jest glebą urodzajniejszą, aniżeli francuska. Pod względem oświaty Kanada zrobiła znaczne od roku 1841 postępy. Przedtem był to grunt całkowicie nieuprawny. Podróżnik pewien, Talbot — powiada E. Laveleye (*L' Instruction du peuple*) — który w epoce tej zwiedzał Wyższą Kanadę, świadczy, iż w ciągu pięcioletniego pobytu swego widział tylko dwie osoby z książką w ręku; prawda, dodaje, że książki są tam tak rzadkie, jak jabłka na górach w strefie polarnej.“ Polepszenie w tym względzie nastąpiło skutkiem interwencyi władzy prawodawczej i w ciągu lat dwudziestu pięciu stan zmienił się do niepoznania. Dawniej szkółki znajdowano tylko w dwóch miastach, w Quebeck i w Montréal, gdzie stanowiły one rodzaj sprzętów zbytkowych. Dziś sama tylko prowincya Quebeck posiada: 3 uniwersytety, 234 szkoły średnie, 3 szkoły normalne, 19 specyalnych, 388 początkowych wyższych, 4,156 początkowych i 238,767 uczących się; prowincya Ontario: 104 szkoły wyższe i klasyczne, 2 normalne, 4 wzorowe, 4,941 gminnych, 196 katolickich i 496,855 uczących się. I tak dalej. Cud ten sprawiła rozumna władzy prawodawczej interwencya. Przy wyrazach tych na myśl przychodzi sejm lwowski, któryby może zdobyć się mógł na cud podobny.

Na zakończenie tego pobieżnego zdania sprawy z dzieła pana E. Avalle i uwag, jakie nam praca ta nasunęła, dodam, że kolonie angielskie stanowią rodzaj federacyi, w której Anglia jest punktem środkowym. Kolonie potęgują siły Anglii ogromnie, każda jednak stanowi indywidualność odrębną, związaną z metropolią tylko wspólnością interesów. Każda żyje kosztem własnym, z wyjątkiem tych, które, jak Gibraltar lub Aden, pełnią funkcyę punktów wyłącznie strategicznych, albo, jak Malta, przeważnie militarną odegrywają rolę. Na te Anglia łoży i znacznie: na Gibraltar w budżecie wojskowym r. 1883 wydatek wynosi 335,067 f. szt., na Maltę 361,594; Aden i Perim utrzymywane są kosztem budżetu indyjskiego.

T. T. Jeż.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

D. Zgliński. **U wspólnego stołu**, komedya w 3 aktach. Warszawa.

Utwór p. Z. zrodziła nie obserwacya charakterów, ale chęć wynicowania społeczno-towarzyskich przesądów. Waga też komedyi *U wspólnego stołu* spoczywa nie w artyzmie, ale myśli przewodniej. Maryan Altman, „młodszy syn kościoła,“ kocha Czesławę córkę Tytusa Pawlewskiego, poczciwca i nieco safanduły, którego żona, surowa i pobożna szlachcianka na związek swego dziecka z potomkiem wychrzty nie zezwala. Dopiero gdy wuj Maryana, Księski, uspakaja ją co do prawowierności siostrzeńca a nadewszystko gdy młodej parze darowywa znaczny majątek — westalka ognia szlacheckiego mięknie i zamyka oczy na smutną dolę. Obok tego miłosnego wątku biegnie luźnie drugi, podobny, ale nieszczęśliwiej zakończony. Piotrkowski, neofita jest narzeczonym Maryi Krut, której brat dowiedziawszy się o pochodzeniu przyszłego szwagra, znieważa go i staje się przyczyną jego samobójstwa.

Chociaż *U wspólnego stołu* jeden z bohaterów ginie, cała biesiada odbywa się dosyć spokojnie a nawet wesoło. I w tem właśnie nastroju jej osnowy spoczywa, zdaniem naszem, błąd główny, który kruszy się w szczegółowe. Autor postanowił wysnuć t. z. w szkole francuskiej „komedyę“ z kłębka, w którym komicznych nici niema wcale. Ażeby mu ona jednak nie otwierała dramatycznych przepaści, rytuje w sercach bohaterów uczucia płytko, płyciej, niż to nawet czyni życie. Zarówno naczelna para kochanków, jak i jej otoczenie, wuj i rodzice, ważą sobie bolesne sprawy bardzo lekko (II, 17, III, 3 itp.). Ani mama, niby zacięta szlachcianka, nie opiera się twardo, ani panna nie rozpacza boleśnie, ani jej kochanek nie wybucha namiętnie, a ojcu to już prawie wszystko jedno, kto się z jego córką ożeni.

Słowem brak w tej kombinacyi uczuć głębokich, śmiałych, płomienistych. A nawet i samobójca Piotrkowski pozwala bratu narzeczonej zbyt poniewierać sobą. Czasem pewność ciosu nie budzi w zagrożonym ani dreszczu.

Wobec takiej zasadniczej właściwości utworu, jego tendencya—wyszydzenie przesądów kastowych smutnymi ich skutkami — nie wypowiada się z dostateczną siłą. To nie zacięta walka dwu światów, ale chwilowe nieporozumienia i kwasy w jednym; to nie atak wychrztów na twierdzę szlachecką dla zdobycia żony, ale spokojny, dobroduszny targ szczerych zalotów z obłudnymi konwenansami.

Na podobną mieliznę komedyopisarze, zwłaszcza francuscy, sprowadzają starcia życiowe bardzo często, ażeby im nadać mniej pochmurny widok; p. Zgliński więc poszedł utartą drogą, na której braki w treści zaciera się artyzmem formy. Dopisał ten artyzm autorowi *U wspólnego stołu*? Przyznać musimy, że chociaż akcya posuwa się nieraz leniwie, a dyalog nie odbija procesu duchowego osób mówiących, w tkance komedyi błyszczą licznie pomysły i zwroty szczęśliwe (sceny Księskiego z siostrzeńcem). Inne przymioty utworu uwydatni scena.

A. Strzelecki. **Nauka o dobrej gospodarce** polnej. Warszawa.

Autor, jak widać z tytułu ogólniejszego, zamierza wydawać „Bibliotećzkę rolniczą dla mniejszych gospodarstw.“ Myśl to szerokiego poparcia godna. Wieśniak nasz ugrzązł w gospodarce tradycyjnej, niedołężnej, z której dotąd przykład dworu go nie wydobył. Obecna książeczka zajmuje się uprawą roli, podając bardzo szczegółowe i cenne rady dla gospodarki drobnej. Ponieważ czytelnicy nasi może zechcą rozpowszechnić to dziełko, notujemy, że kosztuje ono bez przesyłki kop. 20.

LIBERUM VETO.

Spór o pochodzenie Filipa z Konopi. — Konieczność uwzględnienia jednego autora z *Echa*. — Nierząd góry i rząd dołu. — Co się dzieje w teatrach zagranicznych a co w naszych. — *Habitués* — Kogo się przeprasza, a kogo łaje. — Kozioł ofiarny, którego niema. — Sport teatralny. — Dobre zapowiedzi karnawału i czerwone fraki. — Usposobienie i barwy. — Bal malarski. — Święto panien. — Wyzwoliny. — Bez nazwisk. — Mała potyczka i bal literacki. — Przerwane toasty.— Niemożność wypicia „kochajmy się!“— Słówko *Niwie*.

Prof. Rostafiński spróbował objaśnić (w *Czasie*) rodowód przysłowia: „wyrwał się jak Filip z Konopi.“ Według jednych badaczów ów nieszczęsny Filip był człowiekiem i pochodził ze wsi tego nazwiska, a według innych był po prostu zającem i siedział w rzeczywistych konopiach. Nie rozstrzygając tego sporu na żadną stronę, sądzę, że nie należy w nim pomijać autora apostrofy *Echa muzycznego i teatralnego* (nr. 15). Mąż ten dbały o godność teatru wyrwał się... a raczej wystąpił z na-

pomnieniem do „młodzieży“ paradyzowej, która oklaskując i przywołując aktorów, nieraz w ciągu widowiska, znieważa świątynię sztuki. „Oprócz ludowych teatrów włoskich—powiada on — *niema* publiczności zgiełkliwszej i niesforniejszej w aplauzach, jak warszawska. Ale *co prędzej przepraszamy* jej ogół za ten zarzut... Każdy to wie, że mówimy *tylko o paradyzie*. Publiczność dojrzała i poważna, sterroryzowana przez paradyz, oddawna u nas przestała ujawniać zewnętrznym wyrazem swoje zadowolenia, bo w gustach swoich najczęściej nazbyt jest różną z paradyzem, a do współzawodnictwa na siłę gardła i dłoni z żywiołami, które tam się gromadzą, bez ujmy dla swej powagi, swego taktu, swego wreszcie *zdrowia* stawać nie może.“ Czy wam, czytelnicy, nie zdaje się, że to mówi hr. Larochefoucauld lub lord Shaftesbury? A jednakże to pisze skromny polski literat, który może niedawno zszedł do krzeseł z tej „górnej sfery,“ w której „wieją uragany, ścierają się namiętności i potykają stronnictwa.“ Trudno, taki to nasz obyczaj: chłopa tytułować *ty*, mieszczanina *asanem*, a usiadłszy w krześle parteru, pluć w górę ku paradyzowi, kłaniając się jednocześnie lożom. Bo czy to jest prawdą, że „oprócz ludowych teatrów włoskich“ niema w Europie publiczności niesforniejszej, niż nasza, i że „nierząd“ panuje wyłącznie śród paradyzowej młodzieży? Jeżeli redakcya wyśle kiedy swego współpracownika za granicę, przekona on się niezawodnie, że tam nietylko w teatrach ludowych i nietylko włoskich, publiczność „dojrzała i poważna“ gwiżdże, tupie, rzuca na scenę zgniłe jabłka, karze dorażnie wymysłami spiewaków a nadewszystko posiada jawną, uorganizowaną, bezczelną *klakę*, wobec której wybryki naszego paradyzu są figlami dzieci. I czy przynajmniej dostojne towarzystwo z krzeseł i lóż nie naraża swego „zdrowia?“ Ach, dotąd mi huczą w uszach armatnie grzmoty poważnych *habitués*, którzy „krzepkością płuc i jędrnością mięśni w rękach“ zwracają na siebie uwagę artystek. Nieraz byłem świadkiem walki wszystkich, którzy sykali, z dwoma lub trzema krzesłowymi wielbicielami jakiejś aktorki, którzy śród ogólnego śmiechu ryczeli i walili dłońmi na jej dochód. Ale któżby tych panów upominał! A nuż jeden z nich jest bogatym finansistą, drugi prezesem jakiegoś towarzystwa, inny posiadaczem większej własności, czyli prawdopodobnym abonentem *Echa*! Takich można tylko „*co prędzej* przepraszać“ i uprzedzać, że gdy w teatrze ktokolwiek narobi wrzawy, paradyz dostanie w skórę. Tam przecież siedzi młodzież, która w przekonaniu wielu naszych prawowierców za mało jeszcze jest bitą. A tymczasem ona tam nawet nie siedzi. Jak wiadomo każdemu, kto z protestem nie wylatuje z konopi, uczniom niewolno bywać w teatrze samym, lecz z rodzicami, którzy zwykle zajmują krzesła i loże. Ponieważ zakaz ten jest ściśle przestrzeganym, jeżeli więc strzelanina *Echa* ma jakikolwiek cel, w kogo trafia, mierząc „do naszej młodzieży, która kiedyś będzie z pewnością umiała zdrowo ocenić niewłaściwość swego zachowania się“ i która ma „uzasadnione pretensye“ większego wykształcenia, niż „szewczyk i łobuz brukowy?“ Zaiste, gdyby nie było przysłowia o Filipie z Konopi, należałoby je stworzyć.

Jest to charakterystycznem znamieniem naszej krytyki teatralnej, że ona zmęczywszy się przeróżnymi poglądami na „ideały i zadania sztuki,“ bierze do ręki bat i smaga nim publiczność paradyzową a zwłaszcza „niebieskie mundurki.“ A w takiem właśnie położeniu jest młodzież szkolna. Na szczęście jej otwarto już Teatr Rozmaitości, który dostarczy żyjącym z niego estetykom świeżego materyału do rozpraw pełnych stylistycznego pyłu.

Ci zacni ludzie, ktorzy nie pokalali się nigdy bytnością na paradyzie, obiecują sobie wiele pociechy z tegorocznego karnawału. Ma on być świetnym i będzie niezawodnie, jeśli jakiś „naturalny przewodnik narodu“ sprowadził z Włoch kwiatów na jedną zabawę za tysiąc kilkaset rubli. Podobno nawet w salonach wyższego towarzystwa ukazały się modne obecnie, czerwone fraki. Dotąd strój taki nosili tylko dyabli i lokaje, ponieważ zaś przepisano im go dlatego, ażeby się widocznie odróżniali od porządnych ludzi, nie dziw więc, że arystokracya, która również dba o zewnętrzne wyróżnienie, taki jaskawy kolor wybrała. Nie przeszkadza jej zaś ku temu nastrój wewnętrzny. Barwy odzieży zależą nietylko od przelotnego kaprysu lub użyteczności, lecz także od wypadkowej usposobień ludzkich. Gdy Europa posmutniała, zaczęła się ubierać szaro i czarno. Ale w wyższych jej klasach, którym zawsze dobrze i zawsze wesoło, barwy jasne utrzymały się dotąd. Widujemy hrabiów niebieskich, żółtych, fioletowych, zielonych, ale chyba nikt jeszcze nie spotkał w takim kolorze urzędnika, który z 500 rubli lub 700 ma wyżywić rodzinę! Gdybyśmy należeli do tych nieszczęśliwych, których posłannictwo p. L. Górski, katecheta większej własności, tak niezmordowanie wykłada, kto wie, może byśmy także wdzieli czerwone fraki.

Malarze urządzili sobie także w Dolinie Szwajcarskiej bal, na który bilety były podobno chciwiej rozkupywane, niż medaliki z Jerozolimy. Przyznać trzeba, że ci artyści umieją się bawić. Ich majówki stały się sławne, a wieczory karnawałowe zapewne na długo utkwią w marzeniach panieńskich. Cieszy mnie to bardzo właśnie ze względu na panny. Bo wyobrażam sobie, jak one, znudzone przez cały rok dowolnem więzieniem i kazaniami *Bluszczu* o powołaniu kobiety, wyczekują tej szczęśliwej pory, w której mogą tańczyć, śmiać się, dawać i odbierać lekkie uściski oraz miłe pokusy. Proszę popatrzeć, jak skacze wiewiórka, gdy na wiosnę wybiegnie ze swej dziupli—a przecie ona drzemie tylko parę miesięcy, panna zaś — prawie jedenaście! Z pierwszym dniem nowego roku najskromniejsza uczuwa drżenie w nogach, ogień w oczach, przyspieszony ruch krwi w żyłach — podnosi się i pozwala objąć mężczyźnie, któremu jeszcze przed tygodniem nie wsunęłaby pod ramię ręki. Ona go nawet nie zna, nie słyszała jego nazwiska, nie pyta, czy uczciwy, czy łotr — i tańczy. Zapamiętałością wynagradza sobie wszystkie skrępowania konwenansu, wszystkie nudy samotności lub etykietalnej rozmowy. Kobieta nie jest z natury tak wstrzemięźliwą i sztywną, jaką być musi. Gdy więc kodeks towarzyski zawiesi na kilka tygodni swoje surowe prawa, gdy ją wyzwoli, upija się ona swobodą tak samo, jak jej brat szampanem. To też przez ciąg karnawału żaden rozsądny i wyrozumiały mężczyzna nie powinien rozmawiać z „dobrze wychowaną“ panną, jeżeli niema zamiaru prosić jej do tańca. Bo cokolwiekby powiedział, wydałoby się jej grubo niedorzecznem. Jeżeli usłyszy nazwisko Kopernika, Mickiewicza, Kołłątaja, odrzeknie natychmiast, że jest lub nie jest „przez tego pana zamówioną.“ Na balach bowiem nazwisko niknę, a każde oznacza tancerza. Pierwszem pytaniem, jakie nazajutrz po zabawie panna zwraca do przyjaciółki, jest to:

— Kto był ów przystojny młodzieniec, którego ciągle wybierałam do mazura?

A przyjaciółka zwykle odpowiada:

— Zapomniałam. Lisicki czy Gąsiorowski.

Gdyby nie mała potyczka *Słowa* z *Wiekiem* na mogile *Echa*, miałbym nadzieję, że i tego roku literaci wyprawią sobie bal składkowy, po którym wzajemnie się przekiną. Wobec jednak tej rozterki w „dobrze wychowanym“ obozie, potrącającej aż uczucia żydowskie, wątpię, czy komitet zabawy się zbierze. Gdyby wszakże do tego przyszło, proponuję bal bez kolacyi. Każdy literat zje z pewnością kilku współbiesiadników — po co więc jeszcze polędwica? Malarze co innego, oni się nie pożerają i nie sądzą, że gdy jeden z nich świat zbawia, inni go gubią. W naszym zaś cechu...

Piotr wnosi toast.

— Za zdrowie prasy warszawskiej!

Wincenty dopełnia:

— Z wyjątkiem na szczęście nielicznych organów, które wyparłszy się uczuć obywatelskich, dążą...

— Panie Wincenty, uspokój czkawkę winem! — krzyczy Jan.

Wrzawa — i „kochajmy się“ przepada.

Tymczasem krótko, jak można najkrócej odpowiem mitraliezie najohydniejszych brutalstw — *Niwie*. Nie mam zwyczaju w starciach literackich uderzać na ludzi, ale na rzeczy; więc i teraz pozostawiam w spokoju rozrzedzony rozum szan. redaktora a dotknę *Niwy*.

Pismo to, które zrobiło sobie sport z wymyślań, oszczerstw i niecnych posądzeń, które stawia przeciwników „w kolizyi z ogólnemi pojęciami o obowiązkach względem sumienia i uczciwości obywatelskiej,“ zarzuca im „brudy,“ „służenie egoistycznym celom,“ samo pełniąc obowiązki szlacheckiego najmity; pismo, które skarży się na „karczemne wymyślanie od łotrów i różnych przedstawicieli królestwa zwierzęcego,“ a w tymże numerze p. M. Bohusza nazywa „legawcem do węszenia ziemiańskich nikczemności,“ pismo to miesza się do sprawy prywatnej, napada na mnie za podniesienie znanej winy jednego z redaktorów, którym przed kilku laty samo poniewierało i przeciw któremu i własni współpracownicy *Niwy* dostarczyli nam dowodów. Wynajdywanie wyższych „szczytów“ bezczelności jest wobec tego zbytecznem.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Świętokradztwo w Mińsku i Kielcach. — Lichwa na prowincyi. — Rzeźnicy lubelscy i przewaga bydła nad ludźmi. — Petycye do księcia Witgensztejna. — Apostrofa do braci Nobel.

. . . .

Z dwóch miast o setkę mil od siebie oddalonych z Mińska i Kielc — doleciały mię jednocześnie ponure krzyki. W pierwszem z nich i w okolicach drugiego popełniono liczne świętokradztwa. „Dajcie nam stróżów kościelnych!“ — wołają gazety. Nie. Stróżem świątyni — powinna być wiara ludu. Gdy opieka jej stanie się bezsilną, stróże będą wspólnikami złodziei.

Widok rozkładu i zapach zgnilizny bolą mnie nawet wtedy, gdy źródłem ich — trumna zaciętego wroga. A wrogami moimi nie byli nigdy ci ślepi, których przekonać nie można, że nie ateizm, lecz urządzenia i stosunki społeczne tworzą opryszków. Czy zaręczycie, panowie, że ten, co odszedł przed wami od ołtarza, nie okradł go wczoraj? Że nie dziękował teraz ciemny i spodlony swojemu bogu za to, iż mu do pomyślnej dopomógł wyprawy? Spotykaliście wy też tam, na błotach poleskich, idyotycznego chłopa, który „ofiarowuje świecę do kościoła, aby sprowadzić chorobę na swego sąsiada?“ Odbierzcie złotu majestat spasionych cudzą pracą próżniaków — a złotych krzyżów waszych długo jeszcze nikt bezcześcić świętokradztwem nie będzie.

A łez tych dużo się u nas wylewa — och dużo! Są plagi do których przywykliśmy,

jak asceta do włosienicy. Jeżeli dłoń świętokradzcy przenika nas oburzeniem, to koścista ręka lichwiarza, od czasu do czasu tylko wywołuje słaby protest tych, co patrzą na wyzysk. Wyzyskiwani nie mają czasu i odwagi się skarżyć.

Warszawa, gdzie lombardy prywatne z Nalewkami idą w zawody, ani trochę niema prawa do pierwszorzędnego, pod względem lichwy, stanowiska. Gazety prowincyonalne coraz głośniej skarżą się na strasznego polipa, co żyje krwawą pracą biedaków. W Lublinie — jak zapewnia organ tameczny—stopa lichwiarskiego procentu doszła do 80. Zdaje mi się jednak, iż cyfra ta jest wyrazem stosunków, o których drobne mieszczaństwo z zazdrością, a drobni lichwiarze z uśmiechem pogardy się odzywają. Będąc studentem, pożyczałem za pośrednictwem biednego krawca, u którego mieszkałem — drobne sumki na stopę... 240%. Taki sam procent płacił w *porze ogórkowej* mój gospodarz i jego znajomi. Naturalnie o tego rodzaju tranzakcyach nie mówi się dość często w prasie. Za słabe mamy nerwy. *Gazeta lubelska* proponuje założenie w mieście rozmaitych kas pożyczkowych na wzajemności opartych. Zamiany takie i plany popierałbym zawsze gorąco: nie zaradzą one złemu, ale mózg prostaka, biedą oglupiony, w pożądanym rozwijają kierunku.

Żądza robienia majątku rozsiadła się w sercach wielkich i drobnych przemysłowców niezależnie od ilości odmawianych przez nich pacierzy. Najpobożniejsi, wobec panujących poglądów i stosunków, tem się różnią od mniej pobożnych, że obdzierając bliźnich, nie zapominają się wpisać do jakiejkolwiek świętej kongregacyi braciszków lub siostrzyczek. Przytoczone wyżej pismo gorszy się niezmiernie nadzwyczajną w Lublinie drożyzną produktów. Przyczyną jej są zbiorowe spekulacye handlarzy. W szeregu tych ostatnich rzeźnicy pierwsze zajmują miejsce. „Mięso jest złe i drogie nadzwyczaj. Dziwne to, gdyż bydła mamy dużo." Sądzę, że właśnie w liczebnej przewadze bydła nad ludźmi przyczyn złego szukać należy...

Moralizowanie mas ciemnych na nic się nie zdało. Daleko większy ma ono wpływ na sfery inteligentne i bogate. Dla tego też za przykładem kowieńskiego korespondenta *Wieku* występuję z pokorną prośbą do księcia Witgensztejna, właściciela jedynego mostu, łączącego Kowno z resztą świata. Nie pozwalaj, książę, dzierżawcom swym obdzierać pieszych i konnych. Takie fakty, jak zapłacenie *dziesięciu* rs. za przeprawę przez most jednej bryczki i paru koni, książęcej mitrze twojej pożądanego nie dodadzą blasku.

Miasto gubernialne, położone przy zbiegu dwu większych rzek i niemające własnego mostu, jest osobliwością, której nie mogę nie polecić uwadze *Słownika geograficznego*. Ponieważ bożek ironii namiętnie nas i stosunki nasze ukochał, więc stolica Żmujdzi jest... rezydencyą *okręgowego zarządu komunikacyi wodnej*. Pod właściwym adresem korespondent *Wieku* przesłał również kilka pobożnych westchnień. Czy będą skuteczne?

Dopóki ciemności Kaukazu — braci Nobel — znęcały się nad samą tylko Warszawą, dopóty nie miałem prawa o nich wspominać. Teraz jednak, gdy „straszny kopeć" zakłóca sen mieszkańców prowincyi, muszę raz jeszcze wystąpić z perorą.

Szlachetni — z nazwiska bracia! Jeżeli szerzenie ciemności uważacie za dziejowe posłannictwo Kaukazu — to zwróćcie się z waszą misyą na wschód lub południe. Wśród rzeszy ludów uspołecznionych my i bez was potrafimy być kopciuszkiem, a republikańska nafta Ameryki nie rozjaśni nam w głowach do tyła, abyśmy już żadnych szwindlów handlarskich znosić nie mieli. Beczki amerykańskie zanadto są przepełnione naftą, aby w nich choć kropla oleju dla nas zmieścić się mogła.

Maryan Bohusz.

Z kraju kontrabandy, t. j. z pogranicza lubelskiego korespondent nasz kreśli ciekawy obraz przemytnictwa: „Jestto przemysł w całem tego słowa znaczeniu, ściśle i umiejętnie zorganizowany i na ogromną prowadzony skalę. Na pograniczu galicyjskiem szwarcują wyłącznie okowitę, nadzwyczaj mocną, ale ordynarną („śmierdziuchę"), która tu nosi nazwę „galicyanki" i swym zapachem wyróżnia się od krajowej, lepszej i starannie oczyszczonej, gdyż produkcya lichego towaru naszym gorzelniom, ciężko opodatkowanym, zupełnie się nie opłaca.

Ponieważ około 90% włościan wódki nie pija, więc „galicyanka," zwłaszcza że ją każdy strażnik odróżnić może po woni, w handlu pogranicza wiele zbytu nie ma i musi być z wielką ostrożnością odstawiana w głąb kraju do dystylarni, które ją oczyszczają. To są przyczyny, dla których włościanin szwarcować okowity na swoją rękę nie może i nadzwyczaj rzadko pozwala sobie tego ryzyka; natomiast bywa on wynajmowany przez przedsiębiorców i godzonym od sztuki. Odbywa się to w sposób następujący: O sto kroków najwyżej po za kordonem stoją wielkie karczmy, na włorstę lub pół jedna od drugiej oddalone, najczęściej w szczerem polu lub leśnem ustroniu, zdala od wszelkich dróg i traktów. Prawie każda z nich piętrowa lub stryszkiem mieszkalnym opatrzona. Im na większem leży pustkowiu, tem właściciel jej lepsze robi interesy, gdyż na kupujących nie rachuje on wcale. Na dole godna połowica szynkuje wódkę strażnikom, zwanym pospolicie „objeszczykami," którzy po całonocnym czuwaniu radzi do owych pozakordonowych karczemek zaglądają. Na górze zaś mąż „konferuje" z kontrabandzistami, karmiąc ich na swój koszt i hojnie traktując ulubionym „harakiem." Za nadejściem nocy wręcza każdemu niewielką, ale mocną baryłkę, a najczęściej pęcherze napełnione okowitą i wyprawia w drogę. Po za kordonem okowita natychmiast przechodzi w ręce miejscowych wspólników karczmarzy galicyjskich, którzy umiejętnie przeprowadzają towar w głąb kraju. Wspólnikami tymi są po większej części starozakonni dzierżawcy pogranicznych majątków ordynackich. Ci, odbierając wódkę, płacą przemytnikom dość wysokie wynagrodzenie, tak że przeciętny zarobek każdego z nich wynosi od 1 do 2 rs. dziennie a właściwie mówiąc nocnie, nie licząc hojnego poczęstunku. Przedsiębiorca bardzo by musiał być naiwnym, aby w dzierżawionym przez siebie majątku nie potrafił ukryć przemyconej okowity. Zdrady ze strony włościan okolicznych nie potrzebuje się zupełnie obawiać: chłopek nasz jest przedewszystkiem człowiekiem praktycznym, żądnym grosza i korzystnego zarobku; samochcąc nie wyrzecze się go nigdy, chyba przez zemstę, gdyby był bardzo skrzywdzonym. Z dzierżawcy-przemytnika ciągnie on korzyść podwójną: za kontrabandę wódki ma dobrą zapłatę i hojny poczęstunek, nie wkładając w przedsiębiorstwo żadnego kapitału i nie ryzykując go, gdyż spotkawszy się z „objeszczykami" rzuca baryłkę lub pęcherze w krzaki, sam zaś umyka, a przedsiębiorcy wartości przepadłej wódki nie wytrącają mu nigdy; traci on wtedy tylko zarobek, co wszakże wydarza się jedynie młodym, niedoświadczonym frycom. Drugą i to daleko ważniejszą korzyścią, jaką nietylko sami przemytnicy, ile raczej ich rodziny i sąsiedzi odnoszą z takiego dzierżawcy jest to, że on oddając się całkowicie spekulacyom kontrabandy, nie ma ani czasu, ani ochoty zajmować się gospodarstwem, na którem najczęściej wcale się nie zna i nie czuje do niego pociągu; służy mu ono tylko za pozór. Dlatego też prawie wszystkie swe grunta oddaje włościanom na tak zwany „trzeci snopek" albo nawet na współkę, t. j. oni uprawiają rolę i obsiewają ją swojem ziarnem, a potem, sprzątnąwszy zboże, dzielą się niem z dzierżawcą, co naturalnie opłaca im się znakomicie lepiej, aniżeli praca zadzienna. Że niespodziane spotkania z pograniczną strażą pociągają za sobą częstokroć smutniejsze następstwa, niż materyalna strata—to przemytników nie odstrasza, bo tu już w grę wchodzą namiętności, zemsta i ta żyłka awanturnicza, która kontrabandę przeradza w pewien gatunek sportu.

Że tak jest, niestety, potwierdzają aż nadto ciągłe rozboje, grabieże i morderstwa, które na pograniczu nie schodzą z porządku dziennego. Za to robotnika w czasie dla ziemian najważniejszym nie znajdziesz, i nieliczni tamtejsi obywatele posiłkować się muszą galicyjskimi włóczęgami, którzy pod nazwą „bandochów" sieją tylko pośród ludu demoralizacyę i złodziejstwo.

Dzięki temu przemysłowi na pograniczu lubelskiem kmiotek, będąc zamożniejszym, mógłby się łatwo stać oświeceńszym, pracowitszym i lepszym; bywa zaś włóczęgą, próżniakiem, awanturnikiem, a często zabójcą. Jeszcze raz powtarzamy z naciskiem, że włościanin tu rzadko przemyca na swoją rękę, a nawet robić tego nie może, ale jest ofiarą najnikczemniejszego wyzysku i zepsucia, chociaż pozornie dobrze mu się z tem dzieje. Są to słodkie owoce ekonomicznego liberalizmu. Nie podobna przypuścić, aby władze austryackie tolerowały kontrabandę, a jednak wzdłuż kordonu stoją dziesiątki owych wielkich i odludnych karczem. Nikomu nie przyjdzie do głowy zapytać: „dla kogoż panowie szynkować będziecie?" Ale po co tu pytać; wszak pp. Bastiat, Carey, Baudrillart itp. uczą wyraźnie, że kto swój handel urządza niepraktycznie, sam sobie winę przypisze, a nikt mu tego bronić nie może. Chcą karczmy zakładać na pustkowiu, niech bankrutują; c. k. i apostolski rząd mieszać się w to nie może. Ci zaś godni mężowie nietylko nie bankrują, ale w krótkim czasie ogromne robią majątki; a że kilka tysięcy „glupia polska hlopa" staje się włóczęgami i próżniakami, że kilka dziesiątków corocznie zaludnia więzienie i dostaje się do ciężkich robót, że finanse sąsiedniego państwa, z którym stosunki są „przyjacielskie," ponoszą znakomity uszczerbek — cóż to wszystko znaczy wobec wzniosłej zasady wolnego współzawodnictwa? Któżby tam zwracał uwagę na podobne drobiazgi?

Na to jednak wszystko my nie poradzimy nic; sprobujmy więc, czy nie uda się nam choć z tej strony kordonu osłabić cokolwiek ów szlachetny proceder. Jak?

Zarząd Ordynacyi Zamojskiej, do której całe pogranicze gubernii lubelskiej należy, mógłby z łatwością usunąć dzierżawców-spekulantów i nadal im majątków swych nie wypuszczać. Mówimy z łatwością, gdyż ci gospodarzą nad wyraz nędznie, wraz ze zbożem oddają włościanom trzecią część a niekiedy i połowę słomy, a przez to obchodzą jeden z najważniejszych warunków kontraktu, zabraniający dzierżawcom ją sprzedawać lub z majątku wywozić. Nie potrzebujemy nawet dowodzić, że Ordynacya, powierzając majątki w ręce fachowych rolników, chociażby z początkowo nie mogli płacić tak wysokich czynszów, jak spekulanci, podźwignęłaby je z upadku, w jakim się obecnie znajdują i niechybnie zyskałaby na tej zamianie. Nie łudzimy się' że tym sposobem kontrabandę można zupełnie wykorzenić; nie ulega wszakże wątpliwości, że jej obecna organizacya byłaby znakomicie zachwianą. Wątpimy jednak, aby uwagi nasze, jakkolwiek oparte na dowodach faktycznych, trafiły do przekonania zarządu; dlatego to pozwolimy sobie użyć dział nieco cięższego kalibru. Wiadomo, że ogół nasz interesuje się tylko instytucyami nowopowstającemi, które po pewnym przeciągu czasu przestają go zwykle obchodzić, zwłaszcza jeżeli nie potrzebują się przypominać, szukając u niego pomocy lub poparcia. Stąd takie np. instytucye, jak hrubieszowska spółka Staszyca lub ordynacye uważają się dziś za państwo w państwie i o drzemiącej opinii publicznej słyszeć nie chcą. Jakże ma być inaczej, kiedy ogół nie wie o ich istnieniu i sądzi, że są to instytucye czysto prywatnej natury, do których mieszać się niema żadnego prawa. Tymczasem rzecz się ma zupełnie inaczej. Sejmy Rzeczypospolitej zatwierdzały ordynacye nadzwyczaj niechętnie, jako naruszające jej kardynalną zasadę—równości szlacheckiej. Dlatego to założyciele ordynacyj, dla uzyskania takiej sankcyi, zmuszeni byli w statutach swych zamieszczać całe szeregi paragrafów, z których płynąć miała korzyść dla całego społeczeństwa. Nie wchodząc w szczegóły, przypominamy, iż jeden

z najważniejszych punktów statutu ordynacyi zamojskiej i głos, że: „majątki ordynackie wypuszczane być mają podupadłym ziemianom.“ Czyżby do tej kategoryi zaliczali się spekulanci kontrabandy? Zarząd, który zawsze (?) z dzierżawcami swymi postępuje szlachetnie i wspaniałomyślnie, ratuje ich w każdym nieszczęściu i klęski wynagradza, do czego nie jest kontraktami obowiązany i co my tu chętnie dla sprawiedliwości notujemy, niech raczy także i o świętym obowiązku *ścisłego stosowania się do statutu* pamiętać, gdyż ten pozostaje niejako wiecznym kontraktem pomiędzy pewną rodziną a całym narodem. Opinia też publiczna winna się usilnie tego domagać, a i my ze swej strony kołatać o to nie przestaniemy.“ *Ludwik.*

Wasylkow. W czasie świąt pijani żołnierze zaczęli zbyt natarczywie umizgać się na rynku do kobiet. Zebrani tłumnie włościanie wystąpili w obronie swych żon i córek i pomimo że działali tylko drągami i kijami a żołnierze bronią, ostatni zostali poturbowani i zaledwie oficerom i policyi udało się ocalić ich od ostatecznej porażki i uspokoić wzburzenie ludności.

Łódź. Z powodu zmniejszenia produkcyi w kilku fabrykach znaczna liczba robotników pozostała bez zajęcia. Zebrali się oni przed magistratem, żądając pracy. *Dziennik łódzki* pragnie zmniejszyć doniosłość faktu twierdzeniem, że główną przyczyną bezrobocia jest... próżniactwo, ponieważ wspaniałomyślni fabrykanci ofiarowali szukającym pracy połowę wynagrodzenia pobieranego poprzednio, ci jednak ofiary nie przyjęli. A może też nie moglijej przyjąć, bo trudno ograniczyć do połowy swe potrzeby, jeżeli cały zarobek wystarcza ledwie na skromne ich zaspokojenie. W rezultacie postanowiono robotników pozbawionych zajęcia i pozostających za paszportami wydalić do miejsca stałego zamieszkania. To się nazywa radykalnie rozwiązać kwestyę!

Płońsk. P. A. Jaworski, właściciel dóbr Radzymin, zakłada w swym majątku ochronkę dla dzieci wiejskich, urządzoną według metody Froebla.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 17 stycznia.

Wizyta p. Giersa w Wiedniu. — Domowe kłopoty Austryi. — Uchwała sejmu chorwackiego. — Rewizya konstytucyi francuskiej.—Egipt i Tonkin.

Rosyjski minister spraw zewnętrznych p. Giers przybył do Wiednia, dla zobaczenia się ze swoim „starym przyjacielem“ hr. Kalnokym. Zaproszenie do odwiedzin wyszło nawet podobno ze strony cesarza austryackiego. Jest to dalszy ciąg i uzupełnienie wizyty, złożonej przez tego dyplomatę w Friedrichsruhe i oznacza może nietylko stanowcze zbliżenie się trzech państw, ile polubowne załatwienie pewnych nieporozumień między niemi. Bądź co bądź, jest to nowy ciężarek, przeważający szalę polityczną na stronę pokoju.

Ten uspakajający zwrot w polityce zewnętrznej będzie na rękę rządowi austryackiemu, któremu nie brak domowych kłopotów. Pomijamy sprawę małżeństw mieszanych, o której mowa w innem miejscu; oprócz niej na porządku dziennym stoją jeszcze obrady w Radzie państwa nad językiem państwowym. Dotychczas nie jest pewnem, czy zachowawcy niemieccy głosować będą razem z rządem; jeżeli choć w części go odstąpią, wniosek centralistów przejdzie i stanowisko hr. Taaffe będzie zachwianem. Niejaki Lienbacher, członek prawicy, przywódca drobnej, bo z kilku zaledwie członków złożonej frakcyi parlamentarnej w mowie do swych wyborców oświadczył się przeciw federalistycznym dążeniom różnych narodowości i za prawami języka niemieckiego.

Sejm chorwacki przyjął wniosek partyi narodowej, protestujący przeciw pogwałceniu ugody węgiersko-chorwackiej przez rząd Tiszy i żądający usunięcia wielu krzywd i nadużyć oraz zwołania deputacyi, która wraz z podobną deputacyą węgierską przejrzałaby ugodę z r. 1868. Poprzednio Tisza przyrzekł chorwatom zadośćuczynić temu słusznemu żądaniu i postawić w parlamencie węgierskim wniosek o wysłanie odpowiedniej deputacyi. Podczas obrad w sejmie radykalna partya Starczewicza, przy pomocy kobiet i studentów zebranych na galeryach, wyprawiała takie skandale, że większość postanowiła usunąć od udziału w obradach czterech najgoretszych wichrzycieli.

Izby francuskie rozpoczęły już swoje posiedzenia. Ferry zapowiedział, że wniesie projekt rewizyi konstytucyi. Trudność polega na tem, że ministeryum chce tylko zmiany prawa wyborczego i zniesienia instytucyi senatorów dożywotnich, a w ostatnim razie skrócenia terminu władzy prezydenta z 7 lat na 4, kongres tymczasem poruszyć może i inne kwestye. Radykalni gotują się do zaciętej kampanii.

Sprawa egipska przechodzi w inną fazę. Armia Bakera - paszy opuściła Chartum, przez co oddaje cały prawie Sudan w moc Mahdiego. Nastąpiło to z porady Anglii, a właściwie na jej żądanie, ale gabinet podał się do dymisyi. Zwolennik anglików, Nubar-pasza, objął ster rządów, które stanowić będą prawdopodobnie przejście do zupełnego protektoratu brytańskiego. Nieszczególnie zapowiada się on dla Egiptu, jeżeli pierwszym jego czynem będzie opuszczenie Sudanu, którego podbój kosztował tyle krwi i pieniędzy. Gazety niemieckie proponują Francyi i Włochom wmieszanie się do tej sprawy w imię zagrożonych interesów europejskiej kultury w Afryce.

Francuzi drwią sobie z kłopotów Anglii, ale mieszać się nie mają ochoty; wystarcza im Tonkin, z którym nie tak łatwo dadzą sobie radę. Rząd chiński znów robi wojowniczą minę; w kantońskim porcie zakładają torpedy a wice-król wydał proklamacyę, wzywającą ludność do walki z francuzami.

Rozmowa korespondenta *Fr. Ztg.* z min. Giersem w Montreux, o której telegramy doniosły, brzmiała tak. Dotknąwszy naprzód sprawy egipskiej, minister rzekł: „Nikt nie wie, co się stanie, i nikt nie zna rozwiązania, nawet rząd angielski, który za nie jest odpowiedzialnym. Opuszczenie Chartumu (już nastąpiło) jest niemożliwem i byłoby wypadkiem okropnym.“—Na moją prośbę — pisze dalej korespondent — o ogólne skreślenie obecnego położenia Europy, minister ze zwykłą mu dobrodusznością odparł: „Eh, eh, pan wiesz przecie, kto dziś wszystkiem kieruje, kto wszystkie nici trzyma, na kogo oczy wszystkich są zwrócone. Widziałem go i znalazłem zupełnie po stronie pokoju. Przez chwilę obawiano się Francyi, ale obawy te, jak sądzę, znikają. Pozostaje kwestya wschodnia, która tu lub owdzie wynurza się i z której nigdy nie wyjdziemy.“ W końcu rozmowy minister dodał: „Upewniam pana, że w tej chwili nie zachodzi nic, że w mojej podróży polityka nie gra żadnej roli, że wszystkie wieści są bezzasadne, że doniesienia gazet nie opierają się na gruncie poważnym. To jest jedynie prawda i tę możesz pan ogłosić.“

CUDZE GŁOSY.

Nie nowe. Na artykuł *Ruskiego Kuriera* w kwestyi polskiej, dowodzący, że obie strony mają do siebie. co najmniej, jednakowo uzasadnione pretensye, że początkiem istniejącego stosunku obu narodowości była krzywda wyrządzona jednej z nich, a więc inicyatywa zgody i polubownego załatwienia sporu wyjść powinna od silniejszej — *Mosk. Wiedomosti* dają obszerną odpowiedź, którą (za *Kur. warsz.*) przytaczamy.

„Państwo polskie upadło nie z winy Rosyi, ale jedynie i wyłącznie wskutek historycznie i przez codzienne doświadczenia dowiedzionej niezdolności polaków do życia politycznego. Polska nie zdołała wyrobić sobie jednej, niezaprzeczonej zwierzchniej władzy i padła ofiarą różnowładztwa; Rosya zaś, z małymi wyjątkami, odzyskała tylko swoją historyczną i narodową własność, zagarniętą przez Polskę. Rząd rosyjski nigdy nie dążył do prześladowania i wytępiania właściwości polaków, jak to utrzymuje bawiący się w polonofilstwo moskiewski dzienniczek; przeciwnie nadał Polsce podbitej i bezsilnej polityczną swobodę, dał konstytucyę i wojsko oraz oddał do jej zupełnej i niezależnej dyspozycyi wychowanie oraz sfery administracyjno-policyjną i sądową. Wobec tego mówić o uciskaniu polaków ze strony Rosyi jest to obrażać swoich czytelników, licząc na ich nieświadomość. Nie Rosyi winą, jeżeli polacy z nadanej im swobody korzystać nie umieli i użyli jej na złe i szkodę Rosyi. Wskutek dwu najzupełniej nierozsądnych powstań w latach 1830 i 1863, rząd rosyjski ze względu na własne bezpieczeństwo był zmuszony przedsięwziąć środki, mające na celu stłumienie wszelkich nieprzyjaznych Rosyi tendencyj, tudzież wziąć na siebie przewodnictwo we wszelkich sferach życia społecznego. Środki te z czasem złożyły kompletny system, a ścisłe ich zastosowanie przynosi wielką korzyść ludności polskiej. W obecnym czasie, dzięki tym środkom i opiece, mającej jedynie na celu dobro narodu, kraj przywiślański znajduje się w kwitnącym stanie, co stwierdzają nawet wrogowie Rosyi. Brak politycznej swobody nietylko nie szkodzi polakom, ale przynosi im wielką korzyść, gdyż daje możność zużytkowania najlepszych sił narodowych na to, co rzeczywiście jest pożytecznem narodowi: na rozwój jego dobrobytu pod względem umysłowym, obyczajowym i ekonomicznym. Wskutek tego miliony polskich włościan zupełnie są zadowolone ze swojego obecnego położenia, z pobożną wdzięcznością wspominają o swoim Cesarzu Oswobodzicielu i serdecznie modlą się do Boga o długie lata dla obecnie panującego Monarchy. Niemniej oddaną jest Rosyi liczna klasa przemysłowców i kupców, którzy drżą na myśl o wojnie, powstaniu lub zaburzeniach w kraju. Nareszcie w rozumnej cząstce polskiej arystokracyi daje się dostrzegać pewna skłonność do zbliżenia się ku Rosyi. Pozostaje znana wszystkim partya polskich agitatorów, rekrutująca się przeważnie z tak nazwanej polskiej inteligencyi, z niczego niezadowolonej, niezadowolonej nawet z dobrobytu kraju, a organem jej hasła stał się moskiewski dzienniczek.“

Spółki Reifeisenowskie, działające pomyślnie nad Renem, przeszczepione zostały do Górnego Szląska. Są to stowarzyszenia włościańskie, zamknięte w drobnych okręgach, (jednej parafii), wypożyczające na tani procent pod solidarną odpowiedzialnością członków i obracające kapitałami chętnie im udzielanymi. Gorąco zaleca je korespondent *Gazety polskiej.*

„Wkrótce—powiada on—zaczęli ludzie dworscy, czeladź u włościan służąca, rataje, fornale, nieżonaci robotnicy, chałupnicy, owczarkowie, robotnice, dzieci urzędników gospodarczych, służące itp. osoby znosić oszczędzone grosze do kas spółek. To też szczycą się one długimi szeregami pozycyj i ogólnem zaufaniem publiczności; wypłacają zaś po 4 od sta procentu; jedna ze spółek zniżyła atoli w ostatnim czasie procent na 3 i pół od sta, dla zbyt znacznego napływu kapitałów; zniżony ten procent pobierają przecież tylko nieczłonkowie.

Od pożyczek płacą członkowie 5%, a prócz tego ½% rocznej prowizyi; udzielano ich na czas od trzech miesięcy do 10 lat. Jedna spółka wypożycza kapitały za wypowiedzeniem na hypoteki na czas nieoznaczony; urządzenia tego nie pochwalił rewizor, jako niezgodnego z zasadami spółek włościańskich; i słusznie, bo z innem obrachowaniem chodzi wieśniak około swej chudoby, jeżeli wie, że winien w pewnym czasie z pożyczo-

nego kapitału albo z części jego się uiścić: z innem zaś, jeżeli go żaden nie nagli termin. Zasadą i regułą reifeisenowskich spółek jest częściowa spłata pożyczek. Pieniędzy, pożyczonych z naszych spółek, użyli członkowie na zakupienie gruntów, inwentarza, narzędzi rolniczych, nasion, na wykonanie prac melioracyjnych, a w wielu razach na spłacenie wysoko oprocentowanych długów hypotecznych, a spółkom uiszczają się tak punktualnie i sumiennie, że górnośląskich gospodarzy podał rewizor za wzór członkom innych, zamożniejszych prowincyj.“

Do tej sprawy powrócimy a jednocześnie polecamy ją uwadze *Gazety Świątecznej*, która powinnaby zasady spółek Reifeisenowskich śród włościan naszych upowszechnić.

Tajemnicza sprawa. *Warszawskij Dniewnik* podaje ciekawe szczegóły, rzucające niejakie światło na ciemną dotąd historyę niedoszłego jakoby zamachu na życie ks. Bismarka.

„W *Now. Wrem.* przeczytaliśmy niezmiernie interesującą wiadomość, zapożyczoną z *Gazety gdańskiej*. W ostatnich dniach września, czy też w początkach października r. z., przybyła do Gdańska jakaś nikomu nieznana figura, prezentując się generalnemu konsulowi rosyjskiemu w charakterze agenta rządu rosyjskiego, któremu polecono pisać doniesienia dla generał-gubernatora warszawskiego. Nieznajomy prosił, ażeby konsulat podjął się wysyłania tych doniesień. Tajemnicze indywiduum napisało trzy listy. W jednym z nich donosiło generał - gubernatorowi Hurce o zamachu na jego życie, wymieniając nazwiska spiskowców i prosząc o przysłanie pod umówionem nazwiskiem paszportu i pieniędzy na podróż do Warszawy w charakterze świadka. Wkrótce potem, w Pelplinie, stawił się przed miejscową władzą podróżny, niemający przy sobie żadnych rzeczy oprócz strzykaczki do morfiny. Podróżny ten, mianujący sam siebie Düsseldorfem, oświadczył, iż jest oficerem rosyjskim i że ma zlecenie zabicia kanclerza niemieckiego. Ponieważ zaś nie zdecydował się na zbrodnię, przeto prosił, ażeby odstawiono go do Berlina, gdzie się odda konsulowi rosyjskiemu. Nieznajomego, obecnie mianującego siebie Piątkowskim, pociągnięto do odpowiedzialności sądowej; roztrząsanie jednak sprawy odłożono podobno dla wyjaśnienia tożsamości osoby obwinionego. Usilowaliśmy zbadać, co jest prawdą w tej opowieści, zakrawającej na kaczkę dziennikarską, i nie bez zdziwienia przekonaliśmy się, iż wypadek, podany przez *Now. Wrem.*, ma podstawy realne. W istocie jakieś podejrzane indywiduum przychodziło do konsula rosyjskiego w Gdańsku w październiku i wysyłało jakieś listy do generał-gubernatora warszawskiego. Takiż list i z takimże adresem był oddany przez osobę niewiadomą, przybyłą od strony Prus do kordonu granicznego w gub. łomżyńskiej. Władze nadgraniczne uważają za słuszne przypuszczać, iż tym nieznajomym jest mieszkający przedtem w gubernii łomżyńskiej za paszportem austryackim niejaki Serafin Bolakiewicz, który następnie potajemnie przeszedł granicę pruską, przytykającą do gub. łomżyńskiej, dostał się do Gdańska, tam wziął na siebie rolę człowieka wtajemniczonego w rozmaite sprawy, i kilku osobom nawet oświadczył, iż istnieje zamiar otrucia generał-adjutanta Hurki. Dopóki sprawa była jedynie w związku z tą ostatnią okolicznością, do oświadczeń tajemniczego jegomości nie przywiązywano w Warszawie najmniejszej wagi. Lecz dziś podejrzywają go o inne złe zamiary i stawiają wobec sądu pruskiego. Przedewszystkiem zaś należy rozstrzygnąć: czy Serafin Bolakiewicz, Jan Piątkowski i Johann von Düsseldorf nie są jedną i tą samą osobą z liczby tych, które może nie są w stanie zabić, lecz już z pewnością nie są od tego, ażeby brać pieniądze na wszystkie strony?“

Zaloty ladacznicy. Czytelnik się domyśla, że mówimy o *Neue Freie Presse*... Wiedeńska Putyfarowa rzuciła znowu pożądliwem okiem na Józefa galicyjskiego, nęcąc go przekwitłymi wdziękami, które jednak nawet pośród niedoświadczonych nie budzą już oskomy. A nietylko ona ich wabi. Wszystkie „syreny zjednoczonej lewicy“ dekoltują się coraz więcej, odsłaniając tajniki wstydliwie dotychczas ukrywanej „sympatyi dla tego dzielnego narodu polskiego, który wart jest lepszej przyszłości.“

Daremny trud, szanowne panie! Obiecujecie wprawdzie wiele, ale dyabel was tam wie, za co człowiek właściwie ma płacić. Żądacie przytem za dużo! W tym mniej więcej tonie odpowiada *Reforma* krakowska na zalecanki zjednoczonej lewicy, ofiarującej odrębne stanowisko Galicyi i „prezent 75 milionów“ (indemnizacya) w zamian za usunięcie się od rządów w Wiedniu i oddanie centralistom na pastwę czechów, słowieńców, serbo-chorwatów dalmackich, a wreszcie i polaków szląskich. Co do pierwszego punktu bowiem, zachodzi pytanie—mówi krakowskie pismo—

„czy zjednoczona lewica, gdyby nawet szczerze chciała, jest w stanie doprowadzić nas do celu, programem tym wskazanego? Prosty rachunek wykazuje, że bez czechów i innych przestawicieli nieniemieckich narodowości samymi tylko głosami polaków i zjednoczonej lewicy wykonać się to nie da, bo głosy te nie wystarczą do zmiany konstytucyi a oczywiście byłaby to kwestya konstytucyjna. Dziś więc „zjednoczona“ —chociażbyśmy w szczerość jej oferty i uwierzyli, a o tę wiarę jakoś nam bardzo trudno — nie mogłaby dotrzymać tego, co nam przyrzeka w napadzie nie jakiegoś poczucia sprawiedliwości i uznania naszego odrębnego stanowiska w monarchii, ale w napadzie złego humoru—„na złość“ czechom. Najprostszy więc interes i rachunek nakazuje nam, nie iść na lep takich obiecanek.“

Co zaś do owego „prezentu 75-milionowego,“ nie jest to żaden podarek. Chodzi o poparcie w Radzie państwa i sankcyonowanie uchwały sejmu galicyjskiego w sprawie indemnizacyi, uchwały tak haniebnej i niekorzystnej dla kraju, że nikt nie domaga się wejścia jej w życie.

„Jeżeliby zatem—mówi dalej *Reforma*—przyrzekał nam ktoś, że tę uchwałę sejmu wykona, to nie przyrzeka nam nic takiego, cobyśmy mieli potrzebę jakiemiś znów z naszej strony ofiarami czy zobowiązaniami okupywać, na czemby krajowi tak szczególnie zależało. Im później ugoda wejdzie na stół Izby, tem dłużej kraj będzie płacił dotychczasową niższą kwotę zamiast wyższej „ugodowej“ a dla kraju, tak jak nasz biednego— i to się przyda!“

Tak więc propozycyę sojuszu z centralistami odrzuca nawet *Reforma*, mająca, jak wiadomo, uprzedzenie do czechów i wogóle słowian, nierządząca się zgoła „wzajemnością“ w polityce, ale biorąca rzecz na zimno. Jeżeli zaś zważymy, że znaczna część galicyjskiego społeczeństwa i dziennikarstwa, tudzież Koła polskiego w Wiedniu (Czartoryscy) kierowałaby się w danej chwili takiemże uczuciem i że dotychczasowych sprzymierzeńców nie wydałaby na łup niemieckiemu molochowi — możemy być pewni, że ani te, ani jakiekolwiek inne podobne oferty nie zostaną przyjęte, ale ze wstrętem odrzucone przez polaków galicyjskich.

WSKRZESZENIE TEATRU ROZMAITOŚCI.

W odnowionym milutko i ładnie Teatrze Rozmaitości odbyło się pierwsze uroczyste przedstawienie w d. 15 b. m. przy tłumnie napełnionej sali. Od pierwszego rzutu oka teatr przedstawił się strojnie i wdzięcznie. Na ścianach i parapetach jego bardzo gustowne malowidła, o kolorach wesoło wpadających w oko, ozdobione lekkiemi i gustownemi złoceniami. I rysunek i smak nie pozostawiają nic do życzenia, tylko wieńce wypukłe, zdobiące balkon lóż I-go piętra, są nadto ciężkie i nieforemne. Nie zachwyciła także nikogo kurtyna, będąca powtórzeniem dawniejszego pomysłu, ani gustowna, ani też świetna. Dekorator, umieściwszy na niej książkę z imionami naszych dramaturgów, nie domyślał się zapewne, że Kraszewski i Lubowski więcej zrobili dla teatru, niż p. Mellerowa i p. Sienkiewicz. Szkoda, że jego niewiadomość będzie się przypominała widzom aż do końca... kurtyny.

Wentylacyę chwalono.

Rzeczywiście zamiast prażenia się w zwrotnikowem gorącu, można teraz dość wygodnie siedzieć śród jednostajnie ciepłej temperatury; tylko ludziom obdarzonym obfitą cielesnością nie dają wielkiej wygody krzesła nadto skrupulatnie obliczone na wyzyskanie każdej stopy kwadratowej ku pożytkowi kasy. Dodajmy tu nowe a wygodne wejścia do krzeseł, nowy system urządzenia dekoracyi i oświetlenia sceny, a będziemy mieli pojęcie o postępowych reformach, które nową salkę zbliżyły do typu prawdziwie cywilizowanych teatrów. Wprawdzie dawne schody są brzydkie i niewygodne, wprawdzie sama widownia sceniczna za mała, ale w tych warunkach trzeba było zdobyć się na radykalną zmianę wszystkich usterek przybytku, urządzonego tymczasowo wbrew pierwotnemu planowi ogólnej budowy gmachu.

Co prawda, nie wysilono się na program pierwszego widowiska, złożonego z fragmentów dzieł Kraszewskiego, Fredry ojca i syna oraz z aktu starego francuskiego wodewilu. Obok Żółkowskiego i Królikowskiego, którzy uroczyście reprezentowali sztukę aktorską, panie Niewiarowska, Ostrowska, Wisnowska, panowie Rapacki, Ostrowski, Grzywiński i Chomiński ożywili przedstawienie grą sumienną i pełną werwy. Jakkolwiek najwidoczniejszą cechą programu było zwyczajne traktowanie tak uroczystego aktu, jednakże widowisko przybrało nastrój serdeczny i szlachetny, odpowiedni chwili zmartwychwstania sceny, która się tak pięknie zasłużyła sztuce i literaturzej ojczystej.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ograniczenie. Władze rosyjskie zawiadomiły gabinet wiedeński, że od 13 b. m. żydzi austryaccy i węgierscy nawet za paszportami nie będą mieli prawa dłuższy czas przemieszkiwać w Cesarstwie.

Senat skasował uchwałę z 1882 r., zabraniającą żydom mieszkać po za obrębem miast i miasteczek w kraju zachodnim, oraz nabywać i dzierżawić własność ziemską. Rozporządzenie to nastąpiło wskutek licznych podań ze strony miejscowych obywateli, wykazujących, że prawo z r. 1882 przyczyniło się do upadku ceny majątków i znacznie utrudniło kredyt. Tak podają pisma; dla nas jednak treść tej uchwały i motywy są nieco zagadkowe, ponieważ w guberniach zachodnich żydzi nigdy nie mieli prawa nabywania ziemi a ukaz z 10 grudnia 1865 r. potwierdził ten stan rzeczy. Prawo z 1882 r. zabraniało dzierżawienia ziemi, szynków i przemieszkiwania po wsiach, a zarazem nabywania gruntów włościańskich tym nielicznym izaelitom, którzy mieli do tego prawo, jako uwłaszczeni w r. 1861—nie mogło więc wcale wpływać na cenę ziemi. Czy zakaz arendy karczem został również uchylony—nie wiemy.

Sądy policyjne. Rada państwa roztrząsać ma wkrótce projekt przywrócenia we wszystkich większych miastach sądów policyjnych. Zadaniem ich będzie natychmiastowe rozstrzyganie spraw wynikłych ze stosunków służbowych oraz doraźne karanie pijaków itp. osób, zakłócających spokój publiczny, słowem spraw, wymagających bezzwłocznego załatwienia. Sądy te będą mogły nakładać tylko kary, przewidziane przepisami administracyjno-policyjnymi. Od wyroków ich służyć ma apelacya do sądów zwyczajnych. Ale w takim razie jedyny warunek istnienia sądów policyjnych, tj. szybkość wyrokowania, nie będzie miał znaczenia praktycznego.

Dobre informacye. *Kuryer Warszawski* (nr. 15 b.) donosi, że komisya, pracująca nad ustawą handlu trunkami, wystosowała pytanie: jak medycyna zapatruje

się na kwestyę używania spirytualiów, które przesłała lekarskiemu wydziałowi w uniwersytecie petersburskim, nieistniejącemu, niestety, wcale!

Muzeum pszczelnicze wskutek licznych żądań otwiera filię w Berdyczowie. Ma tam być urządzoną wzorowa pasieka i praktyczne wykłady dla osób, pragnących poświęcić się pszczelnictwu.

Pomnik Kazimierza Wielkiego stanąć ma Krakowie ze składek zbieranych jedynie od izraelitów. Odpowiedni komitet już się zawiązał.

Antisemickie rozruchy na małą skalę wybuchły podczas świąt w Charkowie; podobne zajścia powtórzyły się i w innych miasteczkach. Prasa rosyjska wspomina o tem zaledwie mimochodem, jako o rzeczy najzwyczajniejszej w świecie. „Wybito szyby w 16 domach, zniszczono to a to, pobito tylu a tylu żydów“ — i t. d. *Żydotrepanje* staje się chorobą chroniczną, jak pijaństwo np. i traci ostry charakter.

Nowe drogi. Ministeryum komunikacyj wyjednało kredyt 22,000,000 rs. na budowę kolei i dróg podjazdowych. Na pierwszym planie stoją linie od Wilna do Kowna z odnogą do Pińska, od Łuniniec do Homla z szosą do Mozyra, od Baranowiec do Białegostoku i od Siedlec do Małkini. Roboty mają być w części powierzone batalionom kolejowym.

Bibliografia polska. *Gwiazda*, kalendarz petersburski ilustrowany, pod redakcyą H. Glińskiego. Petersburg.

— Dr. J. Rogowicz *Rocznik medycyny krajowej*. Gdyby nie to, że wszystkie nasze wydawnictwa informacyjne są zawsze pełne błędów, zrobilibyśmy *Rocznikowi* uwagę, że adresy lekarzy powinny być dokładne.

— Br. Chlebowski *Jan Kochanowski* w świetle własnych utworów. Warszawa.

Czytelnia akademicka w Krakowie liczyła w r. ub. 366 członków; dochód jej wynosił 2000 złr. a rozchód 1935. Największą jej zasługą było energiczne zajęcie się sprawą pomnika Mickiewicza, na który z różnych źródeł zebrano 12,084 a z poprzednio wniesionemi 54,239 złr.

Oświata. Poznańskie towarzystwo czytelni ludowych rozdało w r. z. 19,000 książek bezpłatnie i otwarło 140 czytelni. Z powodu wyczerpania funduszów pożyteczna ta instytucya odwołuje się do ofiarności publicznej.

Diderot pozostawił po sobie komedyę p. t. *Est-il bon, est-il méchant?* którą teraz dopiero odnaleziono. Utwór ten zamierzają wystawić na scenie.

Nagana. Towarzystwo wstrzemięźliwości w San-Francisco wydało uchwałę, w której wyraża cześć i uznanie dla działalności Chrystusa, zaznacza jednak, że przemiana wody na wino na weselu w Kanie było czynem niepotrzebnym i szkodliwym a nawet jest i dziś, bo dostarcza pijakom silnego argumentu powagi religijnej. Cały ten dokument zredagowany jest w formie upomnienia udzielonego publicznie.

Strata ziemi. W r. 1883 ubytek polskiej własności w Poznańskiem wynosił 4430 morgów; jest to postęp ku lepszemu, bo w r. 1882 cyfra ta wynosiła 22,216 a w 1881 — 77,578 m.

Ścisłość autorska. Zgasłe niedawno *Echo* posiadało w gronie swych współpracowników jednego wybornie obeznanego z językiem i literaturą małoruską. Otóż polecamy go redakcyi *Słowa*, może wtedy w drukującej się powieści *„Ogniem i mieczem“* nie znajdziemy takich dziwolągów, jak np. *„nie* twoje *dieło łeż* nil zadawaty“ *„sedyte* i mołczyte“ „zhreszy kniaź—*urezać* (?) mu szyję zhreszy kozak *urezać* mu szyję“ —*hroszy* zamiast *hroszy, hodi* (chodź), zamiast *chody*. Pomijając właściwość tworzenia jakiejś polsko-ukraińskiej mowy, zwracamy uwagę p. Sienkiewicza, że powieść jego dzieje się przed 1654 rokiem, t. j. przed oddzieleniem się Małorosyi; kozacy nie mieli wtedy jeszcze czasu na przejęcie różnych specyalnie rosyjskich zwrotów, jakie im w usta wkłada (np. użycie *tak* zamiast *to*).

Nowy objaw germanizacyi. P. Zakrzewski w Poznańskiem, założywszy folwark, chciał nazwać go Zakrzew, gdy jednak zwrócił się z podaniem do władz o zatwierdzenie tej nazwy, otrzymał odmowną odpowiedź, ponieważ nowe osady mogą nosić tylko niemieckie miano. P. Zakrzewski odwołał się do władz wyższych, a jednocześnie na wypadek, gdyby skarga jego nie została uwzględnioną, zaproponował nazwać folwark Grunwald lub Hundsfeld, pozostawiając regencyi wybór według życzenia.

Statystyka pijaństwa. Według obliczeń, dokonanych przez departament dochodów niestałych, największa ilość wypitego spirytusu na głowę wypada w gubernii piotrkowskiej, bo 0,29 wiadra, i warszawskiej łącznie z Warszawą 0,47. W guberniach pogranicznych ilość tę śmiało można podwoić, ale i tak nie będzie to zbyt wiele, chociaż znacznie mniej, niż w Cesarstwie. Jeden szynk przypada w Królestwie na 326 osób, w guberniach zachodnich na 503 a w wielko-rosyjskich na 741. Liczba wypadków śmiertelnych z pijaństwa znajduje się w odwrotnie proporcyonalnym stosunku do tych cyfr, co dowodzi, że ani ilość szynków, ani ilość spożytej wódki kwestyi pijaństwa nie przesądza.

Dwie sprawy zbrodnicze. z których psycholog może poczerpnąć ciekawe spostrzeżenia, zajmują obecnie cały Wiedeń, a właściwie całą Austryę. Niejaki Hugo Schenk (przy pomocy brata i wspólnika Schlosserka) zabijał tajemnie starsze służące, które za pośrednictwem ogłoszeń poszukiwały mężów, naturalnie wyłudziwszy od nich zebrane oszczędności. Dotąd wyśledzono już sześć ofiar, a łańcuch morderstw jeszcze nieskończony. Druga sprawa nastręcza policyi więcej kłopotu. Do kantoru wekslarskiego H. Eiferta przybyło dwu ludzi z zapytaniem o kurs rubli. Gdy otrzymali odpowiedź, jeden z nich sięgnął do kieszeni bocznej i wyjawszy... garść piasku, sypnął nim w oczy bankiera a równocześnie uderzył go kilkakrotnie w głowę siekierą, tak że rozłupał czaszkę, odrąbał szczękę i wyciął oko. Pomimo to ranny wybiegł do sieni, wołając pomocy, ale zbrodniarz pośpieszył za nim i powalił nowymi razami. Wróciwszy obaj wspólnicy porozbijali głowy znajdującym się obok kantoru młodym synom Eiferta i guwernantce, poczem zabrali pieniądze i uciekli. Stało się to około 6 godziny wieczorem, przy bardzo ludnej ulicy (Mariahilf). Przyaresztowano dotąd niejakiego Pongratza, na którym ciążą silne poszlaki i w którym żyjący dotąd bankier jednego z morderców poznał. Charakterystycznym jest szczegół, że rąbany Eifert krzyczał głównie: „Portefeuille, portefeuille!“

Zmarli. Franciszek de Sanctis, włoski minister oświaty.

— Inocenty Fiodorow znany w literaturze rosyjskiej pod pseudonymem Omulewskiego rodem z Syberyi, tłomacz Syrokomli, wielki przyjaciel polaków. Zmarł w ostatniej nędzy; przed śmiercią wystawiono na sprzedaż całe jego mienie, ocenione na 6 rs. Pozostawił żonę i kilkoro dzieci.

— Generał Fadiejew, znany publicysta — słowianofil.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. B. S. Nie znamy dokładnie jej motywów, w każdym razie nie pozwala. Za granicą jej niema.

P. Janowi P. w Żr. Wykładów publicznych w tym przedmiocie mieć nie możemy—ale spełnimy życzenie pańskie w *Prawdzie*.

X. Y. w R. O ile to było możliwem, zaprotestowaliśmy kilkakrotnie (*Lib. veto*). Więcej—nie.

A. K. Przeczytamy dopiero w tych dniach.

M. N. Owszem, ale uprzedzamy, że już — o ile wiemy—przygotowano kilka tłomaczeń.

W. Zie. Nie mając książki Hellwalda pod ręką, nie możemy Panu odpowiedzieć. Duchiński nie poparł swych twierdzeń poważnymi dowodami. Najlepszych objaśnień mógłby udzielić prof. Kopernicki w Krakowie.

P. T. C. P. Thiele w przekładzie francuskim M. Vernes'a *Manuel de l'histoire des religions* Paryż 1880; tegoż *Hist. comparée d. religions anciennes*. Nadto prace Reville'a, z których Jeż dał sprawozdanie w nrze 17 *Prawdy* r. z.

OFIARY.

Dla studentek polek w Petersburgu. Marya Krzycka rs. 1; Zofia i Felicya G. z Łukowa rs. 1; złożone na zebraniu u pp. S. rs. 5.

Na kasę Mianowskiego. Lipnicki rs. 1.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Января 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.